

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 5 lutego 1911 r.
Nr. 6.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

GROMNICA.

Święto Oczyszczenia Najświętszej Maryi Panny nazywa się inaczej Gromnicznem, z powodu świec w tym dniu używanych. Pochodzenie tego święta jest następujące; pogański Rzym obchodził w lutym dni dwa lub trzy na cześć bożka pasterzy Pana. Kapłani tego bożka udawali się do jego świątyni, tam zabijali mu na ofiarę białe kozy, a potem z paskami skór kozich w ręku przebiegali miasto, uderzając owemi rzemieniami spotykanych przechodniów. Ślady tego obrzędu istniały jeszcze do V wieku po narodzeniu Chrystusa. Papież Salezy (około roku 500) starał się usilnie o zniesienie owych zabytków pogaństwa i w tym celu ustanowił święto Oczyszczenia N. P. M., aby prawdziwą uroczystość, prawdziwą świętość, przeciwstawić brudnym uciechom pogańskim. W kilka lat później uroczystość ta przeszła do Konstantynopola, wkrótce zaś rozszerzyła się po całym świecie.

Co do procesyi z zapalonemi świecami w dniu Oczyszczenia, to i ona jest odpowiedzią Kościoła na obyczaje pogańskie. Mianowicie Rzymianie zdobywszy nieledwie cały świat, co pięć lat robili spis ludności i ściągali podatki. Gdy je zebrali, na podziękowanie bogom, w miesiącu lutym, urządzali pochód hałaśliwy z pochodniami przez miasto. Papieże znieśli ten zwyczaj, zaprowadzając inny: dnia 2 lutego duchowieństwo wraz z ludem odbywało po ulicach Rzymu świetną procesyę, wśród której jaśniały tysiące pochodni, a tysiące głosów śpiewały pieśń na cześć Niepokalanej Maryi.

Z Rzymu rozszerzył się zwyczaj poświęcania gromnic w dniu Oczyszczenia N. M. P. po całym świecie i do dziś dnia się przechował. Ładny to i chwalebny zwyczaj. Jakże pięknie wygląda wtedy świątynia pańska. Setki pobożnych klęczy przed ołtarzem Pana nad Pany, chyląc kornie głowy ku ziemi, a ponad nimi migają jasne płomyki gromnic, jak gdyby z ciał pochylonych modły szły ku niebu. Płomienie migają, a z ich ruchami wychodzą z ust pobożnych pokorne prośby ku Tej, która sama będąc Najczystszą, żądała oczyszczenia — wychodzą prośby, aby Najświętsza Panna uprosiła ludowi oczyszczenie z wszystkich grzechów, popełnionych w chwilach zapomnienia się.

Z czasem świece owe święcić polecono, a poświęcone błogosławieństwa nie tracą, dopóki zupełnie nie spłoną. Tak powstała gromnica.

Znaczenie gromnicy, jak wogóle wszelkiego światła podczas naszych nabożeństw, to przypomnienie słów Ewangielii św. o Chrystusie Panu: »będzie światłością prawdziwą, która oświeca każdego człowieka na ten świat przychodzącego«. W modlitwach przy święceniu świec kapłan prosi Boga, aby swą nauką i łaską umysł ludzki oświecił, a miłością serca ich zapalał; by szatan, książę ciemności, ze wszystkich miejsc, gdzie zapalone będą, uciekał. Gromnica w ręku umierającego, ma nam przypominać, że z gorejącą lampą dobrych uczynków, na wzór panien mądrych, powinien oczekiwać przyjścia Zbawiciela. Przy pogrzebach znowu światło to oznacza, że ciało nieboszczyka mamy w poszanowaniu, jako siedzibę duszy, że odprowadzamy w tryumfie tego, który już skończył walkę na ziemi, że prosimy dla niego o »światłość wiekuistą«.

W domach magnackich rozdawano dawniej gromnice poświęcane między lud, a u nas dotąd panuje zwyczaj zawieszania gromnicy na krzyż z palmą wielkanocną nad łóżkiem.

Przyznać trzeba, że zdarzają się zabobonne nadużycia owej błogosławionej świecy np. bywa, że sobie dziewczęta w dniu Oczyszczenia włosy opalają gromnicą, co ma chronić od pioruna. Zbytecznem dodawać, że czynić tego nie należy, natomiast nie jest grzechem używać wosku gromnicy do przyrządzania jakiej maści leczniczej, lub podobnie, bo to oznacza wiarę w łaskę Bożą.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

7. Ben-Hur powraca na Wschód.

Zechciej, kochany czytelniku, przenieść się myślą do roku Pańskiego 29. Zawiedziemy cię do Antyochii, do najpotężniejszego po Rzymie grodu ówczesnego świata.

Było południe. Z niebieskich wód morza w ujście rzeki Orontes wpływał duży okręt transportowy. Pomimo obezwładniającego upału, wszyscy wylegli na pokład dla przyjrzenia się miastu.

Pomiędzy podróżnymi był nasz dobry znajomy, Ben-Hur. Przez ciąg ubiegłych pięciu lat z młodzieńca stał się mężczyzną w sile wieku. Pomimo szerokiej białej szaty, widać było, że kształty jego rozwinęły się wspaniale.

Od godziny przeszło siedział już w cieniu żagli; niejeden z towarzyszów podróży usiłował wejść z nim w rozmowę, ale nadaremnie. Dawał im krótkie, acz grzeczne odpowiedzi w języku łacińskim. Ci, co przyglądali mu się bliżej, nie mogli pogodzić niektórych jego właściwości z postawą prawdziwego patrycyusza. I tak, naprzykład, ręce jego były niestosunkowo długie, duże, silne i jakby spracowane, co dziwnie raziło przy delikatności całej postaci.

Pytano się wzajemnie, co to był za jeden i jakie są dzieje jego życia, bo widać było odrazu, że człowiek ten miał poza sobą przeszłość niezwykłą.

W jednym z portów cypryjskich wsiadł na statek jakiś Żyd sędziwy i wielce szlachetnej postaci. On jeden wśród wszystkich zdołał wciągnąć Ben-Hura w dłuższą rozmowę.

Wpływając na wody Orontosa, galera, na której jechali, spotkała się z dwiema innemi, przyczem te ostatnie wywiesiły małe jaskrawo żółte chorągiewki. Wśród podróżnych było wiele domysłów i wniosków co do znaczenia tych sygnałów. Wreszcie ktoś zwrócił się po objaśnienie do sędziwego izraelity.

— Istotnie — rzekł on — są to sygnały, lecz oznaczają właściciela, nie zaś narodowość tychże okrętów.

— Czy ma on ich tak wiele?

— Całą flotę. Jestem z nim w stosunkach handlowych.

— Kupiec ten — ciągnął dalej Żyd — mieszka w Antyochii, a ponieważ bogactwa jego ściągają mu wielu zawistnych, krąży o nim wiele złośliwych gawęd. Swego czasu żył w Jerozolimie książę bardzo starożytnego rodu, nazwiskiem Hur...

Juda starał się słuchać obojętnie, lecz serce jego biło bardzo szybko.

— Otóż książę ten zajmował się handlem i miał niepospolite zdolności kupieckie. Posiadał biura we wszystkich większych miastach Wschodu i Zachodu. Na czele jednego z nich, tu, w Antyochii, stał mąż sędziwy — jak powiadają, dawny niewolnik domu Hurów — zwany Simonidesem. Przed kilkunastu laty książę Hur zatonął na morzu. Sprawy handlowe jego szły jednak dalej, również pomyślnie, jak i za jego życia. Lecz nieszczęście wkradło się do domu księcia. Syn jego jedyny targnął się na ulicach Jerozolimy na życie rzymskiego prokuratora Gratusa. Zamach ten nie udał się, natomiast odtąd nie słyszano już więcej o owym młodzieńcu. Zemsta Rzymian zaciążyła nad całym domem Hurów, nie pozostawiono przy życiu ani jednego członka tej rodziny. Na bramach ich pięknego pałacu przyłożono cesarskie pieczęcie; w murach tych gnieździ się dziś ptactwo; wszystkie dobra i ruchomości zostały skonfiskowane. Otóż Simonides wkrótce po tych wypadkach począł prowadzić handel na własną rękę i stał się niebawem najbogatszym kupcem w całem mieście. Tak, jak niegdyś pan jego, wyprawiał karawany do Indyi, a na morzu ma obecnie tyle okrętów, że możnaby z nich utworzyć królewską flotę. Wszystko idzie mu po myśli. Wielbłądy jego giną tylko ze starości, okręty nie idą nigdy na dno; gdyby rzucił w morze trzaskę, wypłynęłaby jako bryła złota.

— Czy dawno już tak mu się szczęści?

— Nie będzie więcej jak lat dziesięć.

— Musiał zaczynać z wielkimi kapitałami?

— Tak mówią. Prokurator zagarnął podobno z majątku księcia tylko to, co było pod ręką: konie, bydło, domy, obszerne włości, okręty i towary. Pieniędzy nie można było odnaleźć, choć musiały pozostać ogromne kapitały. Co się z nimi stał, nikt do dziś dnia nie wie.

— Czyżby ludzie byli tak niedomyślni? Jeśli chcesz, mogę ci coś o tem powiedzieć — odezwał się jeden ze słuchaczów.

— Rozumię cię — odparł starzec. — Inni wpadli na tę samą myśl. Powszechne jest mniemanie, że pieniądze te stały się podstawą majątku Simonidesa. Prokurator jest, czyli raczej był kiedyś tego zdania. Dwa razy w ciągu pięciu lat kazał chwytać kupca i brał go na męki.

Juda z nieludzką prawie siłą szarpnął linę, którą trzymał w ręku.

— Powiadają, że nie pozostało mu w ciele ani jednej całej kości. Ostatnim razem, gdym go odwiedził, ujrzałem na fotelu jakąś bezkształtną masę, nad którą wznosiła się głowa Simonidesa.

— Nieszczęśliwy człowiek! — wołali niektórzy litościwsi.

— Pomimo katuszy, nie wymuszono na nim żadnych wyznań. Był prawowitym panem wszystkiego, co posiadał i robił godziwy użytek ze swoich majętności; nic nadto nie zdołano z niego wydobyć. Teraz wszelako wolnym już jest od prześladowań. — Otrzymał od samego cesarza Tyberyusza pozwolenie na handel w całym obrębie państwa. Okręty, któreście widzieli, są jego własnością — mówił starzec, udając, iż nie słyszy tej uwagi. — Majtkowie jego mają we zwyczaju witać się wzajemnie przez wywieszenie żółtych choręgiewek, co ma znaczyć: »Mieliśmy podróż szczęśliwą!«

Na tem skończyła się opowieść sędziwego izraelity. Słuchacze powoli się rozpierzchli. Gdy pozostali sami, Juda zbliżył się do starca.

— Jakie nosił nazwisko ów książę Jerozolimy? zapytał.

— Nazywał się Ben-Hur.

— Czy nie wiesz, co się stało z jego rodziną?

— Syn jego został zesłany na galery. Można go już liczyć pomiędzy umarłych. Rzadko kto dłużej żyje nad rok, pracując przy wiośle. A od tego wypadku upłynęło lat dziesięć z górą. O wdowie i córce nikt nic nie wie, to jest ci, co wiedzą, muszą milczeć. Zgniły zapewne w podziemiach twierdzy.

Juda zeszedł do kajuty. Był tak pogrążony w myślach, że nie widział pięknych brzegów Orontesu, ani mijających okrętów, nie słyszał wesołego śpiewu majtków. Słońce gorącymi promieniami oblewało ziemię i morze. W sercu Ben-Hura tylko była noc ciemna.

8. Na falach Orontesu.

Wszyscy podróżni wybiegli na pokład. Statek przypływał do Antyochii. Zarzucono znowu pytaniami sędziwego żyda.

— Rzeka w tem miejscu płynie na zachód. Tam oto — mówił, ukazując na południe — piętrzy się góra. Jezioro leży dalej na północ. Można się do niego dostać konno, albo na łodzi, gdyż łączy się z rzeką.

— Co to za lasek tam, poza rzeką? — zapytywał ktoś inny.

— To gaj Dafne. W mowie ludzkiej niema słów na opisanie wszystkich jego uroków. Kto tam pójdzie, nie chce wracać. Jest nawet przysłowie: »Lepiej być robakiem i ogryzać liście morwy w ogrodach Dafne, niż siedzieć u królewskiego stołu«.

— Radzisz zapewne trzymać się zdaleka od teźródła rozkoszy.

— Wcale nie. — Pójdziecie tam niewątpliwie. Wszyscy tam idą: filozofowie, młodzieńcy, kobiety, kapłani..., wszyscy. Tak jestem pewny, że każdy z was tam będzie, iż pozwalam sobie zgóry dać wam jednę radę: nie zatrzymujcie się w mieście, byłaby to strata czasu; podążajcie odrazu do wioski, leżącej w pobliżu groty. Droga wiedzie tam przez gaje. Jedno wam tylko powiem: strzeżcie się.... Lecz dość o tem. Oto mury miasta.

Oczy wszystkich zwróciły się w kierunku jego ręki. Majtkowie poczęli zwijać żagle. Okręt podpłynął ku legarom w środkowym murze. Zarzucono liny, przymocowano kotwicę. Tu był kres podróży.

Przed wyjściem na ląd stały Ben-Hur zbliżył się raz jeszcze do sędziwego Izraelity.

— Pozwól — rzekł — iż zadam ci jedno pytanie.

Starzec skłonił głową na znak potwierdzenia.

— Twoja opowieść o owym kupcu tak mnie zaciekawiła, że chciałbym go poznać. Wszak nazywa się Simonides?

— Tak.

— Gdzie można go znaleźć?

Starzec spojrzał bystro.

— Chcę ci oszczędzić upokorzenia — rzekł — kupiec ów nie ma zwyczaju pożyczania pieniędzy....

— Ja zaś nie mam zwyczaju zaciągania długów — odparł wyniośle Ben-Hur.

— Daruj mi.. tylu pożycza, iż sądziłem... Jeśli chcesz go odwiedzić, idź brzegiem rzeki aż do tego mostu. Pod nim to, w nędznej chałupie, przypierającej do filarów, obrał swe mieszkanie najbogatszy człowiek w Antyochii.

— I ciebie także.

Z temi słowami rozeszli się.

Dwóch tragarzy wzięło na plecy pakunki Ben-Hura, oczekując na jego rozkazy.

— Do zamku! — rzekł im.

Widocznie miał w mieście stosunki urzędowe.

Jakkolwiek Ben-Hur jechał prosto z Rzymu, zachwycił go przepych, roztaczający się przed jego oczyma. Po obu stronach drogi stały marmurowe pałace; przed nimi podwójny rząd takichże kolumnad oddzielał przejścia dla przechodniów, dla wozów i bydła; cała ulica dla ochrony od palących promieni słonecznych, pokryta była dachem; co kilka kroków biły fontanny. Nagle Ben-Hur, zajęty wciąż myślą o Simonidesie, zmienił nagle zamiar.

— Nie pójdę dziś do zamku — rzekł, zwracając się do tragarzy. — Nieście moje rzeczy do najbliższego »khanu«, przy moście, na drodze do Antyochii. Skierowali się do gospody, położonej o kilkadziesiąt kroków od mieszkania Simonidesa. Przez całą noc Ben-Hur przeleżał na dachu »khanu«.

— Teraz, teraz nareszcie — powtarzał sobie po tysiąc razy w nieopisanej radości — jutro już może, dowiem się o moich, o matce, o drogiej Tirzie. Jeżeli są jeszcze przy życiu, z pod ziemi je wydobędę!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gawędy o różnych sprawach.

Przecie jest lepiej...

W numerze trzecim »Roli« w artykule wstępnym p. t. »Zimowe szkoły rolnicze« zarzucono rolnikom pewną niechęć do nauki rolnictwa, ponieważ próby Wydziału krajowego z zakładaniem szkół zimowych idą częściowo na marne. Z prawdziwą radością sprostować jednak trzeba, że w niektórych powiatach rzecz się ma raczej przeciwnie.

Szkoła rolnicza w powiecie bocheńskim, nie wiadomo z jakiej racyi, zimową zwana, w czasie dziewięcioletniego istnienia podniosła rolnictwo w tym powiecie do niepoznania.

Gospodarstwa, które przedtem nie słyszały nawet o nawozach pomocniczych a z obornikiem po macoszemu obchodziły się, które wapna tylko do bielenia ścian używały, gdzie na niespokładanych rżyskach do późnej jesieni bydełko nędzny wiodło żywot, gospodarstwa te dzisiaj mają wszystko inaczej. To też nie dziwne tam 12 ctn. m. pszenicy lub 19 cetnarów metrycznych owsa z morga i to wyborowej odmiany a z łąki podwojona ilość siana.

Uczniów na kursie zimowym bywa po 25 do 30 każdego roku, a kursów dla starszych słuchało po stu i więcej rolników, bardzo chętny biorąc udział w pogadance po wykładzie.

Gdy szkołę rolniczą przeniesiono w okolice podgórskie, w sądeckie, gdzie w ogóle gminy są mniejsze a domy rozrzucone, nic dziwnego, że i uczniów mniej, bo ich w małej gminie więcej niema, a na to, by włościanin z dalszej gminy syna swego do rolniczej szkoły dawał i za utrzymanie tegoż płacił, to niestety musimy przy naszych stosunkach jeszcze parę lat poczekać.

Działalność szkoły rolniczej nie ogranicza się jednak tylko do kilku, choćby nawet kilkudziesięciu chłopaków. Równocześnie odbywają się trzymiesięczne kursa rolnicze dla starszych rolników, jak niedawno np. w Siedlcach, w powiecie nowosądeckim i w Białej niżnej w powiecie grybowskim.

Na te kursa rolnicze uczęszcza stale przeszło dwustu najwybitniejszych włościan i uczęszczają chętnie, bez przymusu, i to, jak np. w Białej, w dzień powszedni. Nietylko słuchają przez cztery godziny z rzędu w nieopalanej izbie wykładu, ale nadto w późniejszej pogadance prawie wszyscy biorą żywy udział, wyrażając swoje zdania i rozpytując kierownika kursu.

Gdy się więc w jednym kwartale przeszło dwustu rolników oświeca, to nie można w żaden sposób mówić, że Wydział krajowy pieniądze na szkołę rolniczą marnuje, bo i w Czechach trudno o lepszy wynik.

Że ludność rolnicza potrzebę szkół takich uznaje, najlepszym dowodem jest dopraszanie się wielu powiatów o takie szkoły. Ludność, gdy taką szkołę pozna, odczuwa wdzięczność za nią Wydziałowi krajowemu, a jeżeli tenże więcej szkół takich nie zakłada, to tylko z braku funduszów i odpowiednio uzdolnionych kierowników. Bo, co prawda, rzecz nie łatwa zjednać sobie miłość a przez to posłuch u ciągle, przez niepowołanych, bałamuconego ludu.

Rzecz to trudna, powtórzyć należy, ale nie niemożliwa. Nie traćmy nadziei, bo i ludzie się wyrobią i pieniądze się znajdą a wtedy i wykaz zbiorów dla naszego kraju korzystniej wypadnie.

Nie odrazu zbudowano Kraków a i Wydział krajowy odrazu w każdym powiecie rolniczej szkoły założyć nie może!

Świątobliwi jeńcy z Barro.

Gdy w październiku roku zeszłego wybuchła w Portugalii rewolucya wojskowa i w ciągu zaledwie kilku dni królestwo przeobraziło się w rzecz pospolitą, rodzina królewska uciekła a wojsko w ogromnej większości opowiedziało się za nowym rządem. Ten ostatni rozpoczął swą gospodarkę, jak czytelnikom wiadomo, odrazu od gwałtów przeciw Kościołowi katolickiemu. Ogłoszono świeckość szkół, usunięto z nich religię, obiecano w parlamencie małżeństwa cywilne (poprostu kontrakty między nowożeńcami, bardzo łatwe do rozwiązania) a z największą srogością i to bez zwłoki zabrano się do wypędzania zakonników i zakonnic, zagarniając bezprawnie ich majątki, niegdyś przez bogobojnych dobrodziejów na wieczność klasztorom zapisane. Podajemy czytelnikom prawdziwy, przez naocznego świadka widziany obraz wypędzenia OO. Jezuitów z klasztoru w Barro. Rano dnia 6 października, gdy już OO. Jezuici odprawili służbę Ołtarza, ujrzeli z okien klasztoru zbliżający się oddział konnicy i oddział piechoty. Za chwilę komendant piechoty zapukał do bramy klasztornej. Wyszedł naprzeciw niego rektor zgromadzenia, zapytując, czego sobie życzy. Gdy pułkownik spojrzał w twarz księdza, nagle brakło mu słów na ustach. Pobladł, cofnął się o krok, spuścił głowę, głęboko zawstydzony.



— Panie pułkowniku — zapytał po raz drugi rektor spokojnie — w jakim celu przybywa pan do nas na czele wojska?

— Pozwól, ojcze — odparł słabym głosem pułkownik, z uszanowaniem salutując duchownemu — na chwilę rozmowy na osobności.

Weszli do sieni, ukrywszy się przed wzrokiem żołnierzy. Tu pułkownik uchwycił rękę księdza, chcąc ją ucałować.

— Wszak poznajesz mnie, ojcze?

— Tak, poznaję.

— Byłeś w mej młodości spowiednikiem moim, a przytem najlepszym przyjacielem — a oto teraz (co za okropne koleje losu!) mam tutaj straszny rozkaz do wykonania.

— Domyślam się. Mamy w najbliższych dniach opuścić klasztor. Czy tak?

— Ach, tak! Lecz rozkaz mój opiewa, że nie w ciągu kilku dni, lecz za kwadrans macie raz na zawsze te mury opuścić, ja zaś zaprowadzić mam was do więzienia.

Pobladł lekko świątobliwy kapłan na te słowa. Wzniósłszy oczy w górę, westchnął i rzekł tylko:

— Słudzy Chrystusa, który cierpiał prześladowanie bez szemrania — i my srogiemu wyrokowi rządu bez szemrania się poddamy.

Pułkownik, człowiek zresztą ludzki, wzruszony wielkodusznością kapłana, rzekł na to w uniesieniu:

— Nie, ja tego rozkazu nie wykonam. Złożę mój stopień, nie chcę do tego barbarzyństwa przykładać ręki.

— Nie czyń tego, mój synu — rzekł rektor — grzech ten twego sumienia nie obciąży. Jesteś tu tylko narzędziem innych.

Z temi słowy odszedł na schody, oznajmić zakonnikom, jaka dola ich czeka, pułkownik zaś począł naradzać się z oficerami. Nie wszyscy byli tak szlachetnie usposobieni jak on, było też kilkunastu cywilnych, kilku urzędników, zaciekłych republikanów, którzy miotali głośno obelgi na księży.

Oficerowie i cywilni znaleźli się niebawem w klasztorze. Chodzili od celi do celi, brutalnie wobec księży się zachowując; kazali pewnemu ciężko choremu, 70-letniemu kapłanowi, natychmiast łoże opuścić, który, postąpiwszy krok, padł na podłogę; to samo zrobili z pewnym młodym klerykiem, prawie umierającym na suchoty.

Przed odejściem Ojcowie i klerycy weszli po raz ostatni do kościoła. Z głośnym płaczem padli na kolana, żegnając się z rozdzierającym bólem z przybytkiem bożym, z którego rozchodziła się nauka Chrystusowa, w którym lud pobożny tylekroć podczas nabożeństw, doznał pokrzepienia i łaski.

Oficerowie i urzędnicy, którzy mieli opieczętować klasztor, zaczęli się niecierpliwić.

— No, prędzej, moi panowie! Dość tych głupich czułości! Czas w drogę!

— Płaczą jak baby a my, jak głupi, na to patrzymy — rzekł drugi. — Wychodzić, wychodzić!

Naraz rektor zwrócił się do pułkownika:

— Panie komendancie! Wszyscy wyjść stąd dzisiaj nie możemy. W ołtarzu jest Najśw. Sakrament, którego opuścić nie możemy i narazić na zbezczeszczenie. Chociaż jeden z nas musi do jutra tutaj pozostać, aby Mszę św. odprawił i komunikanty spożył, a wówczas i on spokojnie pójdzie do więzienia.

— Nie może być! Nie może być! Klasztor dzisiaj musi być opróżniony! — zaczęli wołać urzędnicy. — Nie przystajemy na żadne wyjątki, nic nas nie obchodzą wasze kościelne zabobony!

Tymczasem księża otoczyli wielki ołtarz i jeden z nich zawołał:

— Możecie nas wszystkich wystrzelać tutaj, na tem świętem miejscu, a nie opuścimy Najśw. Sakramentu! To nasze ostatnie słowo!

— Co za zuchwałość! — zaczęli wołać urzędnicy i niektórzy oficerowie — co za bezczelność! jeszcze teraz, wobec wojska, ośmielają się nam księżulki stawiać! Nic z tego! jak baranów wszystkich co do jednego stąd popędzimy!

— Proszę milczeć, panowie! — zawołał pułkownik. — Stanie się tak, jak Ojciec rektor mówił. Jeden z księży zostanie tutaj do jutra pod strażą wojskową, aby Mszę św. odprawił.

— Ależ rozkaz, pułkowniku! — oburzył się urzędnik, zaciekły wróg Kościoła.

— Nie od pana go otrzymałem i nie przed panem będę się usprawiedliwiał — odparł szorstko pułkownik i zamknął mu tem usta.

Po pewnym czasie uformował się przed klasztorem osobliwy pochód. Dwójkami, jak skazani zbrodniarze, w otoczeniu wojska, postępowali księża. Było ich około ośmdziesięciu, wtem kilkunastu kleryków. Ludność wsi wyległa na drogę i z płaczem żegnała swych najlepszych opiekunów i dobrodziei.

I szli biedni skazańcy — jak to widzimy na obrazku — wśród skwaru, zlani potem, dalekiemi drogami do najbliższego miasta, gdzie ich w koszarach wojskowych zamknięto i straż postawiono u drzwi. Potem odbyli niejedną jeszcze taką drogę, aż do granic państwa, które musieli opuścić.

Na dzień N. M. P. Gromnicznej.

Gdy życie nasze dobiegnie do końca,
Gdy Bóg ostatnie godziny policzy,
Niech nam zaświeci, jak promienie słońca,
Światło gromnicy!

Gdy nasze czoła pot śmiertelny zrosi,
Gdy nasze łoże obstąpią szatani,
Twojej obrony niech każdy uprosi —
Gromniczna Pani!

Kiedy nad nami zwisną czarne chmury,
Gdy na wsze strony lecą błyskawice,
Gdy ciemność straszna od dołu do góry:
Święćmy gromnice!

Matko najświętsza! my nędzni grzesznicy
Pod Twoją obronę się uciekamy,
Przed Twem obrazem przy świetle gromnicy
Ciebie błagamy!

Tyś jasna gwiazda na morzu żywota
Pokus się o Cię rozbiją bałwany!
Kto się ucieka do Cię Matko złota
Jest wysłuchany.

Bądźże nam Matką w życiu i przy zgonie,
Niech Twoja łaska w życiu nam przyświeca,
Niech nasza miłość ku Tobie zapłonie
Jako gromnica!

Piotr Lipowiak.

Jasełka w Rzymie.

Na Gromnice kończą się przedstawienia miłe a rzewne jasełek, na chórach kościelnych milkną w niedziele nasze kochane kolendy. Znowu rok cały trzeba czekać aż powrócą do nas ci nasi zbożni przyjaciele, których pamiętamy z lat dziecinnych.

Kolendy to nasza wyłączna, polska własność. Inne narody katolickie nie mają tego rodzaju pieśni o Bożem Narodzeniu. Natomiast jasełka istnieją prawie u wszystkich narodów katolickich a powszechne są dlatego, że powstały z przedstawień pasyjnych i t. zw. misteryów, któremi kościół starał się szerzyć i umacniać wiarę w tych czasach, gdy przez książki i gazetki nie można było budzić gorliwości w wierze św. ponieważ mało kto, nawet w miastach, umiał czytać. Z biegiem czasu zaginęły prawie wszędzie te przedstawienia pasyjne, a utrzymały się tylko w zimie, w okresie Bożego Narodzenia, a za przedmiot mają zawsze pierwsze lata życia Najświętszego Dzieciątka - Zbawiciela.

Do szczególnie pięknych i udanych należą jasełka w stolicy świata katolickiego, w Rzymie. Odbywają się tam po wielkich salach a przypatruje się im mnóstwo ludzi. Prawie każda szkoła urządza swoje własne jasełka, gdyż odgrywają je przeważnie dzieci. Szkół w tak wielkiem mieście jest dużo, gra każda prawie co niedzielę, a mimo to nigdy nie zabraknie żadnej widzów. Najpiękniej wypadają śpiewy, gdyż Włosi lubią muzykę, uczą się jej dużo i bardzo są do niej zdolni, toteż takie chóry dzieci, śpiewających pienia anielskie, brzmią przecudownie.

Na naszym obrazku przedstawiona jest wielka sala, a w głębi niej widać podniesienie, na którem odgrywane są jasełka. Publika zapełnia salę i ze skupieniem przypatruje się grającym i śpiewającym dzieciom. Na środku widać wielki świecznik zwisający z pułapu, oświetlony elektrycznie.



Na obrazku dodatkowym widać dzieci poubierane za aniołków i śpiewające: *Gloria in excelsis Deo*!

Pamięci
Teofila Lenartowicza

patryoty-poety, zmarłego dnia 3 lutego 1893 r. na ziemi włoskiej, w 18 rocznicę jego zgonu.

O! przezacny Rodaku, przyjacielu strzechy,
Któryś zdala dodawał otuchy, pociechy,
Ognia, wiary, miłości — zachęcał do zgody,
Którą się budują, powstają narody —

Wołałeś do jedności, wlewałeś nadzieję,
Że w pogodzie i jedności naród ocaleje...
Tyś spełnił, jakby jakie posłannictwo Pańskie,
Śpiewając dla nas pieśni prześliczne, sielańskie.

Sam w nieszczęściu będąc, ofiarą-tułaczem,
Pamiętałeś w obczyźnie o ludzie wieśniaczem.
I śpiewałeś prześlicznie dla nas z Bożej woli,
Boś odczuwał to wszystko, co nas nęka, boli...

Śpiewałeś naszą wiarę i świętą prostotę,
Która ci milsza była niż korony złote,
I na Twoim wygnaniu i tułactwie długiem
Cieszyła cię pieśń wieśniacza z wołami za pługiem.

O przezacny Rodaku! wielki Patryoto!
Twe pieśni skarbem dla nas większem niźli złoto,
Zostaną dla nas jako wieczyste pamiątki
A my, czcząc dzisiaj Twe przezacne szczątki,

Serca ślemy żałosne wierni włościanie,
Bo nic lepszego złożyć nie jesteśmy wstanie.
Dziś! ach dziś! śpisz nam już spokojnie!
Kto naszą boleść i któż nasz żal pojmie,

Kto nam o wioskach, chatach będzie teraz śpiewać,
Kto nas będzie miłością Ojczyzny ogrzewać?
Dziś duch Twój w niebie śpiewa wraz z Serafinami —
Proś, by się dobry Stwórca zlitował nad nami

I spełnił, to co Twoje piosenki budziły:
By wspólna matka wstała z wiekowej mogiły,
Aby po śnie wiekowym cierpieniach i znoju
Mogła wrócić do życia, szczęścia i spokoju.

Wojciech Sz. z D. M.

Szocik

Dziad z tamtego świata.

Pewna kobiecina owdowiała i długi czas nie mogła się uspokoić po swoim nieboszczyku. Gdy tylko ujrzała jakiego ubogiego, to się zaraz pytała: czy nie był na tamtym świecie. Czyniła to i potem gdy wyszła za drugiego, bo była zamożna gospodyni.

Trafiło się raz, że chodził po jałmużnie dziad, wybity andrus, i ona się go zaraz pyta:

— Skądeście dziadku?

A dziad pod nosem odrzekł:

— Z tamtego świata.

Kobieta w płacz i zaczęła prosić:

— Mój dobry dziadusiu, nie widzieliście też ta mojego nieboszczyka?

— Ależ widziałem go i znam się z nim doskonale — odrzekł dziad — biedne chłopisko, pasie świnie. Bose to, obdarte, zgłodniałe a i długu ma sporo, bo napił u św. Katarzyny na 40 koron.

Biedna kobiecina z płaczu nie mogła się utulić, że jej nieboszczątko taką cierpi nędzę na tamtym świecie. Nareszcie prosi dziada, żeby taki był dobry i wziął mu tam co na tamten świat. Ale dziad się sroży, że tam prędko nie pójdzie, bo tam ludzie są skąpi i biednego dziada nie chcą opatrzyć. Ale kobieta obiecuje sowitą nagrodę i zapłatę a więc nareszcie dał się uprosić. Kobieta poszła do komory, naładowała do worka chleba, słoniny a do tego dodała po nieboszczyku dobre buty, nowy kożuch, bieliznę itp., a nadto dała mu 40 koron, żeby miał czem dług zapłacić, a naostatek hojnie dziada wynagrodziła. Dziad wyszedł zadowolony, niosąc na plecach potężny worek. Ten zaś drugi mąż niemądrej kobiety orał w polu niedaleko domu i widział jak ten dziad wszedł do domu próżno a wychodzi z workiem na plecach, więc odszedł koni i poszedł do domu pytać się kobiety, czy co nie ukradł. Kobiecina wszystko opowiedziała, jaka to bieda jej nieboszczykowi na tamtym świecie. Chłop skrzyczał kobietę, że się dała dziadowi wywieść w pole i czemprędzej poszedł, odprzągł konia, wsiadł na niego i pojechał za dziadem. Dziad już dochodził do lasu, ale się jeszcze obejrzał i spostrzegł pogoń za sobą. Zeszedł więc z drogi do lasu, schował worek w krzaki i z pałką idzie naprzeciw chłopa jadącego. Stanął chłop i pyta

— Człowieku, czyście wy są leśny?

— A juści leśny, dopiero od wczoraj zgodziłem się u pana dziedzica — odparł dziad.

— A nie widzieliście tu przypadkiem jakiego dziada z workiem na plecach?

— A widziałem dopiero, będzie hań za krzakami.

— Bądźże też tak dobry i przytrzymaj mi konia a ja pogonię za nim.

Dziad z wielką chęcią konia wziął za uzdę i trzyma, pokazując i wołając na chłopa, w którą stronę ma ścigać. Chłop biegł co miał siły w nogach, a dziad tymczasem wywlókł worek z krzaków, włożył na konia, wsiadł i pojechał.

Chłop, wybiegawszy się po lesie, przychodzi nazad, ale ani leśnego, ani konia. Po chwili spostrzegł dziada, ale ten był już daleko. Poskrobał się więc za uchem, co tu teraz robić, jak się z tego wykręcić. Gdy przyjechał do domu, kobieta się go pyta:

— No, jakże? złapałeś go?

A chłop na to: A juści złapałem, ale gdy mi wszystko wypowiedział prawdziwie, tak ja mu jeszcze do tego konia podarował, żeby nieboszczyk miał na czem jeździć za świniami. Kobieta przypadła z płaczem do chłopa i poczęła wołać:

— O mój ty jedyny! Pan Bóg ci za to będzie błogosławił.

Karol Powroźniak.

Zdarzenie jakich wiele.

Na północ od Konar rozciągają się olbrzymie lasy, tak wielkie, że, aby je przebyć, potrzeba cztery i więcej godzin iść, a nóg wcale nie żałować. To też rzadko kto z Wolicy wybiera się na jarmark do Konar pieszo, ale zaprzęga konięta, siada na wózek, a zimą na sanie i skoro świt wyjeżdża, aby przed południem, gdy targ największy, do miasteczka przybyć.

Wolica, wieś biedna, bo najbogatszego gospodarza za kilkanaście stówekby kupił, to też wieśniacy tamtejsi rzadko kiedy do Konar jadą, a wszystkie ich potrzeby zaspakaja Mendel Lichwa.

Że bieda w Wolicy, to nic dziwnego! Wieś, położona za lasami, jest jakby murem odcięta od świata. Rozum i wiedza, jaką odziedziczyli Woliczanie po swych ojcach i dziadach, pozostały tesame, nic do nich nie przybyło, bo przybyć nie mogło. Jedyną rzeczą jaka do Wolicy dochodziła z szerszego świata, to była kochana wódeczka, którą skwapliwie Mendel Lichwa dowoził, a za którą brał od Woliczan, co mógł, a więc: zboże, jaja.

Mendel Lichwa umiał każdemu wytłómaczyć dobrodziejstwa wódki. Wierzyli mu ludziska, to też żadna uroczystość w Wolicy — smutna czy wesoła — bez pijatyki się nie obeszła. A nawet nie trza było uroczystości, bo w każdy wieczór karczma Mendla była przepełniona ludźmi, a ten wódkę nalewał, gościom roznosił i po brodzie się głaskał.

Na samym skraju owej wioski stał dom obszerny, a z całego otoczenia wnosić było można, że w nim mieszkał niegdyś zamożny gospodarz. I też było w rzeczywistości. Lat temu dwadzieścia gospodarzył w tym domu Jacek Mierzwa, a że chłop był uczciwy i pracowity, więc mu też Pan Bóg błogosławił: dostatek jego wzrastał, a w kieszeni grosza mu przybywało. Nie lubieli go sąsiedzi i nazywali skneră, kutwą, a to z tego powodu, że sam wódki nie pijąc, do karczmy nie chodził i nią innych nie częstował.

Jacek Mierzwa miał syna jedynaka, imieniem Walek, którego chciał wychować na porządnego człowieka i uczciwego gospodarza. Życzenia ojca spełniły się: Walek rósł, mężniał i rwał się do pracy, jak żaden we wsi. Do lat dwudziestu czterech nie zakosztował wódki, gdyż wierzył ojcu, że wszystko złe na świecie w wódce ma swój początek.

Jacek Mierzwa, chcąc, aby w wiosce jego rodzinnej były nietylko same rodziny pijackie, wyszukał dla Jacka w miasteczku Konarach dziewczynę, jak róża krasną, a uczciwą, bogobojną, pracowitą i rozumną. Jadwiga jej było na imię. Upodobał sobie Walek rozsądną Jadzię i nuż ojca błagać, aby nie zwłóczył wiele, ale słał swaty do rodziców Jadzi i synową w dom przyjął.



Serce biednej pękło z rozpaczy.

Ucieszyło to starego Jacka; to też w niedługim czasie skrzętna Jadzia uwijała się po gospodarstwie Mierzwy, w którego domu było tak wesoło teraz, jakby szczęście samo obrało sobie w nim siedlisko. Dzień cały schodził im na pracy, a wieczory na wesołej pogawędce, lub też na czytaniu ładnych książek lub gazet. We czwórkę, bo Jadzia zabrała ze sobą z miasta swą matkę staruszkę, przepędzali dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a czas ten zdawał się im jedną chwilą szczęścia i rozkoszy.

Ledwo dwa lata upłynęło Mierzwom w błogości i szczęściu, gdy stary Jacenty począł zaniemagać na zdrowiu. Coraz bardziej spadał stary z sił, aż pewnego wieczoru wyzionął swego poczciwego ducha.

Zeszli się sąsiedzi na pogrzeb bardzo licznie, nie tyle z żałości za zmarłym, którego nigdy nie lubieli,

ale więcej w nadziei, że na pogrzebie takiego »bogacza« i poczęstunek zapewne będzie suty.

Zawieziono ciało poczciwego Jacka na miejsce wiecznego spoczynku, rzucono garść ziemi na wieko trumny i poczęto się rozglądać, kiedy ich Walek poprosi na stypę pogrzebową. Ale spotkał ich przykry zawód. Walek i Jadzia podziękowali przybyłym serdecznie za oddanie ich rodzicowi ostatniej przysługi, ale ponadto nic więcej, lecz zaraz skierowali swe kroki ku wiosce.

Było już dobrze z południa, gdy cały orszak żałobny dochodził do wsi rodzinnej. Ponieważ droga prowadziła tuż koło karczmy, więc Mendel Lichwa był prawie pewny, że wszyscy powracający z pogrzebu do niego wstąpią. Był prawie pewny, że inni wstąpią, ale nie Walek z Jadzią, a on właśnie tych postanowił do siebie ściągnąć i do ich mająteczku się dobrać.

Gdy więc uczestnicy pogrzebu dochodzili ku karczmie, wyszedł Mendel na drogę i zbliżył się ku Walkowi. A że to żyd żaden w swych szachrajstwach prostą drogą nie chodzi, więc i Mendel odrazu nie powiedział, o co mu idzie. Zaczął więc najpierw żałować i wychwalać nieboszczyka Jacentego, a potem delikatnie zapraszać do siebie na szklankę herbaty.

Oburzyła się na te zaprosiny poczciwa Jadzia, bo przeczuciem kobiecem poznała chytrość i podstęp żydowski, ale Walek łatwowierniejszy, a przytem bardziej zziębnięty dał się skusić i poszedł.

— Pamiętaj Walku! — rzekła mu na odchodnem Jadzia — dziś wigilia Matki Boskiej Gromnicznej, już niejako święto Jej, a ty w dzień taki i w dzień pogrzebu ojca swojago pierwszy raz do karczmy idziesz? Pamiętaj, Walku, że Ta Najświętsza Panienka w najcięższej potrzebie pomocy ci nie udzieli!

Już miał Walek usłuchać żony i pójść z nią do domu, lecz na swoje nieszczęście posłyszał docinki sąsiadek i zobaczył drwiący uśmiech żyda-Judasza. Rzekłszy tylko:

— Jaguś, ja zaraz wrócę — poszedł z innymi w progi karczemne.

Wiadomo przecież, że kto w błoto wlezie, to powalany z niego wychodzi, to też i Walek, wszedłszy raz do karczmy, musiał z niej wyjść z powalaną duszą. Pijacy-sąsiedzi obstąpili go w kółko i tak poczęli namawiać i prosić, że dał się w końcu skusić i wypił jeden kieliszek wódki. Głowa mu się zakręciła, wstąpił weń jakiś zawadyacki rezon, a w rezultacie za jednym kieliszkiem poszły inne, tak że Walka późno wieczorem przyniesiono do chaty.

Od tego czasu szczęśliwy dotąd dom piekłem zaczął się stawać. Walek zasmakował w wódce i coraz częściej przesiadywał w karczmie ku rozpaczy biednej Jadzi. Gospodarstwo zaniedbane podupadało, a grosz jaki był z lat dawnych, dawno utonął w Mendla kieszeni.

Minęło lat kilka od owych dni wyżej opisanych. Rodzina Mierzwów powiększyła się o dwie dorodne córeczki, dzieciaki, jak aniołki, ale to w niczem nie zmieniło Walka. Coraz częściej i dłużej przesiadywał w karczmie aż dnia jednego, we wigilię Matki Boskiej Gromnicznej znaleziono go nieżywego pod płotem Mendlowym. Stary gajowy Bartłomiej zwołał ludzi, którzy włożyli ciało Walka, jak prosiaka, na sanie i powieźli ku domowi.

Poszedł przodem Bartłomiej, aby uprzedzić o nieszczęściu Jadzię, ale, choć mówił najoględniej, ta przeczuła ogromne nieszczęście. Wybiegła więc co tchu przed dom, a zobaczywszy zdaleka nieżywego męża na saniach, padła trupem na ziemię, osierocając dwie córeczki i matkę staruszkę. Serce bidneje pękło z rozpaczy. *Antoni St. Bassara.*

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

VI.

Ożga poprowadził Karskiego do Padygi, któremu uroczystym głosem powtórzył rozkaz starosty. Ożga zazwyczaj pokorny i zgięty — dziś minę miał butną, zuchwałą, patrzył z góry, ziemi pod sobą nie widząc. Padyga krótko go odprawił, na komedyanckie miny nie zważał, mając czem innem myśl zajętą.

— I cóż? — spytał, gdy sam ze Zbigniewem pozostał.

Młodzieniec jeno ręką machnął.

— Słusznieś waszmość przewidział — rzekł. — Wierzyć waszmości nie chciałem, nigdy nie przypuszczając, iżby rodzony brat dla sieroty, pozostałej bez opieki, mógł się takim okazać!

— Znam ja go! Znam! — nachmurzony szepnął Padyga. — Wyrodził się on z pomiędzy Hrynieckich. A wiesz waszmość, jakie ma zamiary? — dodał. — Chce cię przekupić, byś świadczył krzywo, jako ostatni potomek podczaszego nieboszczyka zmarł, co go panem spadku uczyni... Ale do tego dopuścić nie można i nie dopuścimy. Będę miał z nim krzyż pański, aliści zje kaduka, czy mi podoła.

Długo siedzieli obadwaj z sobą, naradzając się, jak poczynać. Padyga zawyrokował wkońcu: że chociaż staroście wierzyć nie można, na pozór nie okazywać podejrzenia, dopóki sam się z zamiarami swemi nie zdradzi.

Miał Zbigniew nazajutrz ostateczną konferencyę z panem Łukaszem odbyć, jeżeli zaś ten zwlekać będzie z rozpoczęciem poszukiwań, obydwaj z Padygą do nich się wezmą. Ludzie byli gotowi. Padyga bowiem, skoro tylko posłyszał o porwaniu Anielki, zgromadził ich czemprędzej, uzbroił jak mógł, tak że byle znaku... ruszać w pole.

To rozporządzenie wydał tajemnie, zakazawszy o niem wspominać Oździe i staroście. Zresztą nikt celu wyprawy tak nagle przedsięwziętej dokładnie nie wiedział. O śmierci rodziny podczaszostwa ga dano po mieście, ale nie stanowczo. Wyszła ta wieść nie z zamku, gdzie nikt się z czemś podobnem nie odzywał.

Starosta dnia tego był w niezwykle złotym humorze. Wiadomość, czyniąca go panem znacznej fortuny, od nikogo niezależnym, upoiła go, w szał wprowadziła. O pozostałej sierocie nie myślał, uważał ją za zgubioną.

— Szlachcicowi gębę garścią złota zatkam.... i kwita! — mówił do Ożgi.

— Ale Padyga... — wtrącił Ożga.

Nachmurzył czoło pan Łukasz.

— Padyga... — powtórzył. — Hm... Padyga... A on co? Jeśli słuchać nie zechce... na gałąź pójdzie. Obaczy stary łotr, co to ze mną... Na cztery wiatry go wypędzę!

— To mu się oddawna należało — potaknął Ożga chciwie... — Byleby nie wymyślił jakiego kruczka....

— Razem ze swymi kruczkami pójdzie precz! — huczał starosta. — Dosyć się nagderał, nazrzędził. Po same uszy go mam, po gardziel.

Chciał coś dodać Ożga, ale rozochocony Hryniecki grzmotnął zaciśniętą pięścią w stół.

— Już ty mi kpie stary krwi nie psuj! Wiem co robię. Nie przecz, bo cię razem z tamtym obwieszę na jednej drzewinie.

Nazajutrz wstał późno pan Łukasz z bólem głowy, siedział bowiem przeszło za północ, oblewając tak dobrą nowinę. Zły był, nie swój, dopóki kilku

kubłów wody na głowę nie wylał i śniadania nie spożył, poczem jakoś wydobrzał.

— Tego szlachcica mi przyprowadź — rzekł do Ożgi. — Trza skończyć raz, aby wiedzieć, czego się trzymać.

Zjawił się niebawem Zbigniew. Powitał go starosta z serdecznością wielką, obok siebie posadził i jął się rozwodzić nad ciosem, który go dotknął. —

— Najgorzej z Anielą — kończył. — Bylebyśmy ją potrafili odszukać, co, przyznam się waszmość panu, nie łatwa sprawa.

— Chęci dobre nieraz cuda stwarzają — zauważył Zbigniew.

— Święta prawda! — podchwycił starosta. — Mówisz waść jak z książki. Słuchaj Ożga i ucz się, jak myśleć należy. Całą noc mi gadałeś, że to psu na budę się nie zdało, jam ci przeczył.

Komedye te niecierpliwiły Zbigniewa, słuchał próżnej gadaniny, ledwie mogąc na miejscu siedzieć.

— Ano, nic innego nam nie pozostaje, jak za łotrami w pogoń iść — ciągnął starosta. — Obmyśliłem już cały plan, który waszmość panu rozpowiem. Że zaś na sucho się jąkam, pozwolisz, że wraz z tobą trącę kielichem.

Wymawiał się Zbigniew, ale rady nie było. — Przy winie począł się starosta szeroko rozwodzić nad rozbojami, o których od pewnego czasu coraz to więcej słychać było, opowiadał o swoich wyprawach na hajdamaków. Kręcił się Zbigniew na stołku, przecież siedział. Podczas opowiadania starosta nie zał pominał o kielichach, do spe niania których formalnie zmuszał Karskiego. — Ożga od czasu do czasu przytakiwał panu, chociaż nie zwracano nań uwagi.



...związał Zbigniewa pasem...

Nagle starosta zamilkł, patrzył na młodzieńca z pewnego rodzaju wahaniem.

— Koniec końców nie przystąpiliśmy do rzeczy — korzystając z przerwy rzekł Zbigniew.

— Właśnie stanęliśmy tuż przy niej — odparł pan Łukasz. — Słuchaj waszmość... na rozwagę weź co powiem. Potrzeba mi, abyś ludziom świadczył, jako Anielka wraz z rodzicami i bratem zmarła.

Na równe nogi stanął Zbigniew.

— Mości panie, to nieuczciwie!

— Co za nieuczciwie?... Jaka w tem nieuczciwość? Należy tak mówić, aby samą dziewkę i ród jej od niesławy uchronić... Cóż tedy, zgadzasz się...?

— Podłym nigdy nie byłem... — odparł Zbigniew.

— Miarkuj waćpan słowa, bo nie wiesz, z kim grasz — marsowato odciął pan Łukasz. — Na usunięcie skrupułów dukatów, wiele chcesz, dam...

Zbigniew czuł, że mu krew do głowy uderzyła, nie zważając na nic zawołał gorąco:

— Mości panie starosto, nie wart jesteś zacnego nazwiska, które nosisz. Oto ja w oczy ci plwam i głośno powiadam, żeś nikczemnik...

Ku drzwiom zwrócił, ale mu starosta zastąpił.

— A wiesz czem to pachnie, paniczu? Wiesz, że kto mnie znieważa żywcem nie wychodzi?

— Powiedziałem czystą prawdę.

— Jeszcze raz waćpana spróbuję... Dukaty w gotowiźnie wyliczę za kilka słów...

Odwrócił się od niego Zbigniew, chcąc czemprędzej z oczu stracić nieuczciwych ludzi, gdy Ożga niespodzianie pod nogi mu się podwinął, coś staroście szepnąwszy. Upadł młodzian na ziemię, Ożga siadł na nim, wołając:

— Prędzej! prędzej!...

Pan Łukasz przy pomocy Ożgi związał Zbigniewa w pałąk, pasem, który z siebie odmotał.

Nagły upadek oszołomił na chwilę Zbigniewa. Zanim do siebie przyszedł, leżał jak dziecko w powijaku, z ustami szczelnie zamkniętemi. Cała ta scena odbyła się w mgnieniu oka.

— Że też JW. pan wypuścić go chciałeś? — szeptał Ożga. — Z pewnością rozgadałby wszystko.

— Prawda... — potwierdził, sapiąc zmęczony Hryniecki.

— Gdyby jeszcze do Padygi poszedł... bywaj zdrów. Musimy go potrzymać tak, aby się z nikim widzieć nie mógł, dopóki nie zmięknie.

— Ale co z nim zrobić?

Zamyślił się Ożga. Po chwili w czoło palcami stuknął.

— Już wiem — rzekł. — Do loszku go wsadzimy na rekolekcye. — Tam się ułagodzi panicz niebawem.

Dla wszelakiego bezpieczeństwa sami tylko, starosta z Ożgą wzięli Zbigniewa na ramiona i sapiąc a stękając, ponieśli.

Była to piwniczka niewielka, przeznaczona do ukrycia kosztowności domowych w razie napadu jakiego na zamek. Wejście miała z dwóch stron, od prawego i lewego skrzydła. Z komnaty starosty prowadził do niej wąski, ciemny korytarz, poza którym szły schody kamienne. Korytarz łączył się z tajemnem przejściem lewego skrzydła, schody były wspólne. Do niej zanieśli Zbigniewa, rzucili wprost na ziemię, zostawiając jak sprzęt niepotrzebny. Usta mu tylko odwiązał Ożga, »aby ptaszek, Boże broń, nie zdechł«, poczem wyszli, zaryglowawszy drzwi.

Pan Łukasz poklepał Ożgę po ramieniu.

— Spisałeś się dzielnie, kochanku. Byłby mi skweresu narobił nielada... Będę ci to pamiętał.

— Że narobiłby JW. panu skweresu, to pewna. Byle słówko rzucił ludziom..., oho! korzec talarów prędzejby zjeść można, aniżeli się z wikłaniny wyplątać. Padyga pierwszy wystąpiłby z krzykami.

— Ten stary gderacz... gdybym się jego mógł pozbyć — westchnął starosta.

— Jak teraz, nietrudno. JW. pan teraz tu sam rządzisz, jako jedyny i prawy spadkobierca. On sługa.

Uśmiech wykrzywił mu usta.

— Minęło jego panowanie — ożywiony prawił Ożga. — Fora ze dwora!

Wąsa kręcił pan Łukasz, z upodobaniem słuchając Ożgi, który zręcznie jego miłość własną podniecał.

C. d. n.



MACIEK BZDURA GADA:

Oj, uśmiałek ci się kiejsik, uśmiałek, aż mnie bandzioch rozbolał.

Odbywała się w nasy wsi skrypcya, to niby spisywał konwisorz wszystkich ludziów, kunie, krowy, świnie, baby i inkse gady.

Posedem se de wójta, bo tam przykazali, gospodarzów było moc, rozmaitych babów i dziwek, a kużdego pytał konwisorz: jak się nazywa, kajsi się rodził, ile mos lat, jakiegoś stanu, jaki mas język, wiele dziecków, wiele krów, wiele świń i inksej familii.

Jak ci mnie konwisorz zobaczuł, ten niby konwisorz od skrypcyi, nie ten ze starostwa, co to ma trzy gwiazdy żółte na brzuchu, tak ci zaraz do mnie zagadał:

— A to ty, Maciuś Bzdura, co tak pięknie plecies w »Roli«?

Dotknena mnie ta poufałość, bo mnie tykać nie wolno, kiej nawet gazyciorze, redaktury i inkse porządne ludzie mówią mi panie Macieju, panie Bzdura. A ino. Alem se pomyślol: A niekta — i dałem spokój.

Z inkszemy ludziamy to wiele było kłopotu, ale ze mną to raz dwa odbyła się skrypcya. Jak się nazywom, to poznał konwisarz po moi gambie, kajem się rodziuł, to się i tak nie dowiedziol, bo ja sam nie wiem, bo moja matusia trzy lata, ponoś, przed moim urodzeniem pomarli, a tatusia także nie znałem. Za to wójt, co to jak se pałę zaleją gorzałą, to nabirają rozumu, pedzieli, żem jest Maciuś Bzdura, sławny na cały świat, że żyję w panieństwie i czystości. Na pytanie: jakim językiem gadam?

— No to tym, pedziołem i wywaliłem ozór na brodę i pokazałem konwisorzowi, niech zobaczy, kiej taki ciekawy.

Z inkszem nie było kłopotu, bo gadów, ani owadów, krom tych, co mnie tam czasem we łbie, alibo pod pazuchą gryzą, ni mom.

Ale z inkszemi ludziamy, to było dużo śmichu, a najwięcy z Kaśki. Kaśka wszyćko rzetelnie gadała, ale jak konwisorz zapytał o panieństwo i familią, to się pokazało, że jest stanu panieńskiego, a dziecków ma ino dwa, stryka, ciotkę i śtyry kury z cały familie.

Na drugi dzień to chodził konwisorz po chałpach i zaglądał ci babom wszędy, czy która gdzie ni ma jakich owadów i inkszych kogutów. Okrutnie były baby złe za to, bo to babie rachować gady, to kieby żydowi dziecka.

Ale koniec końców skończyła się skrypcya, a ludzie jak nie wiedzieli prawdziwej prawdy, tak i nie będą wiedzieć, bo nie jeden gadał co inksego a konwisarz pisał co inkszego. Z tego wszyćkiego to była pociecha ino la konwisarzów, bo zarobili po parę koron a la insych ludzi, to ino daremna strata casu.

Z TYGODNIA.

Fałszerstwa w spisach ludności. Wiadomo. że spisy ludności, przeprowadzane w Austryi co 10 lat, mają ogromną doniosłość. Podają one nietylko siłę liczebną tej lub innej narodowości, ale także jej zamożność, oświatę itd., następnie zestawione z kilkudziesięciu lat, wykazują, która narodowość jest dzielniejsza, czy n. p. Polacy, czy Czesi, czy Niemcy, bo przedstawiają jak na dłoni, o ile się pewna narodowość rozwinęła, wzbogaciła lub bardziej oświeciła. Spisy takie powinny być więc wykonywane bardzo sumiennie, ale nie można tego powiedzieć o Niemcach. W Wiedniu i innych krajach austryackich komisarze niemieccy bez wiedzy mieszkańców kreślili pokryjomu w spisach wszystkie języki słowiańskie, a więc przedewszystkiem czeski i polski, i w ich miejsce wpisywali niemiecki. W ten sposób z Czechów, Polaków, Słoweńców i Rusinów chcieli zrobić Niemców i tak chytrze powiększyć swą narodowość niemiecką. Obecnie w parlamencie posłowie słowiańscy podnoszą wielkie skargi na fałszerstwa Niemców podczas spisu ludności.

Dwuletnia służba wojskowa. Niedawno odbyła się w Wiedniu długa konferencya w sprawie skrócenia czasu służby przy wojsku i w sprawie sądów wojskowych. Wzięli w nich udział ministrowie austryaccy i węgierscy. Zgodzono się na zaprowadzenie dwuletniej służby wojskowej wszędzie, z wyjątkiem konicy i konnej artyleryi. — W konnicy i artyleryi pewna liczba dobrych żołnierzy pozostanie jeszcze trzeci rok, aby uczyć rekrutów, ale za to będą oni pobierali wyższy żołd i będą odbywali mniej ćwiczeń w rezerwie. Służba w rezerwie także będzie skrócona, bo gdy dotąd wynosi 12 lat, po zaprowadzeniu ustawy będzie wynosiła tylko lat 10, lecz zato ćwiczenia w rezerwie będą trwały nie jak dotąd 2 tygodnie, lecz 3 tyg.

Ponieważ zaprowadzenie dwuletniej służby ilość wojska zmniejszyłoby, więc rząd zamierza podwyższyć znacznie kontyngent rekruta. Obecnie co roku bierze się do służby 103.000 rekrutów a później będzie się brało 154.009 rekrutów, a więc znacznie więcej zdolnych parobczaków będzie służyło przy wojsku i nie tak łatwo będzie można uwolnić się od wojska. Naturalnie, że dwuletnia służba wojskowa będzie zaprowadzana powoli i zanim całkiem wejdzie w życie upłynie ze 4 lata.

Dotąd, jak wiadomo, służyło się dwa lata tylko w obronie krajowej i to nie wszyscy, bo podoficerowie, począwszy od kaprala, zawsze służyli po trzy lata. Skrócona służba będzie wielką ulgą dla włościan.

Spór o fortecę morską. Wielkie zamieszanie w polityce europejskiej wywołała na pozór błaha rzecz. Małe państewko, Holandya, postanowiła ufortyfikować małą miejscowość Vlissingen, położoną nad morzem, obok ujścia spławnej rzeki Skaldy. Na wiadomość o tem Anglia i Francya zrobiły ogromny hałas, bo gdy Vlissingen będzie obwarowane, żaden okręt angielski i francuski nie będzie się mógł dostać do Belgii, która pozostaje pod opieką tych mocarstw, aby jej niby bronić przed najazdem wrogów. W rzeczywistości jednak idzie tym mocarstwom o co innego. Anglia przygotowuje się od dawna do wojny z Niemcami, których bardzo nienawidzi i chciałaby mieć dla swych okrętów wolny dostęp na ląd stały, tymczasem Niemcy tego nie chcą i namówili Hołandyę, aby wybudowała twierdzę Vlissingen, którаby w czasie wojny z Niemcami ostrzeliwała okręty angielskie. Francya zaś gniewna na Niemcy za ostatnią klęskę z r. 1870 również przeciw nim występuje wrogo.

KRONIKA.

W uniwersytecie krakowskim tak długo socyaliści i żydzi robili awantury i gwałty z powodu wykładów ks. Zimmermana, o czem już donosiliśmy obszerniej w »Roli«, że minister zawiesił na razie wykłady i zapewne uniwersytet będzie na jakiś czas całkiem zamknięty. Dość powiedzieć, że ostatniego poniedziałku socyaliści wpadli do zamkniętego budynku uniwersyteckiego gwałtem, wyłamawszy drzwi powypędzali profesorów i słuchaczy, połamali ławki itp. Dla utrzymania porządku musiano sprowadzić trzy kompanie wojska i rektor ogłosił zawieszenie wykładów.

Stan zdrowia arcybiskupa warszawskiego ks. Popiela jest znowu niepomyślny. Chory nie poznaje otoczenia i mówi bez związku. Lekarze obawiają się rychłego zgonu.

Dom katolicki we Lwowie. W niedzielę 29 stycznia odbyło się poświęcenie wielkiego i pięknego gmachu, który wznosi się przy ulicy Gródeckiej, powyżej kościoła św. Anny, który nosi miano »Domu katolickiego«, a przeznaczony jest na siedzibę stowarzyszeń katolickich. Znajduje się tam wielka sala teatralna, sala zebrań, pokoje dla towarzystw i t. p. Gmach z urządzeniem kosztował pół miliona koron, które częścią zebrał, częścią sam ofiarował ksiądz Arcybiskup lwowski Bilczewski.

Na parcelacyę nabył Bank ziemski w Łańcucie dobra Brześciany w powiecie samborskim za cenę 475.000 kor. i dobra Łęki dolne z 406.800 kor.

O nowy dworzec w Oświęcimiu. W tych dniach bawiła w Wiedniu deputacya miasta Oświęcimia z prośbą o poparcie budowy nowego dworca kolejowego w Oświęcimiu. Nadto domagała się deputacya budowy mostu nad rzeką Sołą i otrzymała zapewnienie, że budowa już może w roku bieżącym zostanie rozpoczęta, a dworzec wkrótce przebudowany i rozszerzony.

(P. Z.) **Przygoda księdza na kolędzie.** W wiosce W. w powiecie nowosądeckim dn 23 b. m. chodził ksiądz proboszcz po kolędzie. W dniu tym gospodarz M. R. z sąsiadem raczyli się porządnie wódką. Żona spostrzegłszy nadchodzącego kapłana, wstydząc się pijaków, wtrąciła ich do komory nakazując im spokój. Ksiądz uwiadomiony wprzód o pijakach, gdy wszedł do domu zapytał kobietę o męża:

— Poszedł do sąsiada — odrzekła spokojnie - lecz w tej chwili dał się słyszeć z komory głos pijanych kumotrów, którzy się w tej chwili o coś pokłócili. Usłyszawszy ksiądz tę kłótnię, otworzył drzwi i wyprowadził z komory obydwóch pijaków, którzy wraz z kobietą chętnieby się pod ziemię byli schowali. Bo też i było śmiechu z nich, gdy się cała wieś o tem dowiedziała, a i ksiądz proboszcz, wielki pogrom dla pijaków, o tem nie zamilczał.

(A. P.) **Brat rozbójnik.** W sądzie śledczym w Zatorze toczy się śledztwo o pobicie Konstantego Czopka z Piotrowic, którego, jak dotychczasowe śledztwo wykazuje, dokonał brat jego Michał Czopek. Napadłszy go leżącego, zaczął niemiłosiernie okładać kołem niemogącego się podnieść. Na widok spieszącego z pomocą sąsiada zbiegł, zostawiając omdlałego, we krwi broczącego brata, gwiżdżąc wesoło kadryla. Stan pobitego jest groźny.

Dalsze śledztwo wykazało, że Michał Czopek w taki sam sposób pobił w jesieni Franciszka Ortmana, leżącego bezwładnie, w okrutny sposób a obecnemu tejże scenie Janowi Pamule zagroził śmiercią w razie wyjawienia tegoż dodając, że podobnego arcydzieła już niejednego dokonał bezkarnie.

(W. K.) **Jasełka po wsiach.** Z Lipinek pod Mościskami piszą nam: Dnia 7 i 8 stycznia odbyło się u nas w sali szkolnej, bo nie mamy miejskiego teatrzyku, przedstawienie Jasełek, które odegrano wyśmienicie. Przedstawienie to odbyło się staraniem naszych nauczycieli: p. Wróbla, p. Potryna i przy pomocy p. Potrynowej. Wiele przyczynili się do budowy kościoła, który wybudowano przed trzema laty. Ale że nie mieliśmy tyle kosztów, aby pokryć wszystkie wydatki, więc wiele rzeczy jeszcze w nim brakuje. Przedewszystkiem niema organu. P. Wróbel więc założył chór śpiewaków z wiejskich dziewcząt i chłopców. Uczenie ich śpiewu, którzy nawet nie wiedzieli tonów, wymagało wiele mozołu i trudu. Ale przy pomocy p. Wróbla wyuczyli się bardzo pobrze i teraz tak pięknie śpiewają, aż miło słuchać w kościele. — Założenie Kasy Reiffeisena, Kółka rolniczego, Straży pożarnej i wielu innych rzeczy należy przypisać niestrudzonej pracy kierownika szkoły p. Potryna.

Przedstawienia nie można dość malowniczo opisać. Opiszę tylko w jakim porządku się odbyło. — Najpierw odśpiewano kolędę i wygłoszono prolog. Druga scena przedstawiała aniołów, którzy śpiewali ogłaszając wesołą nowinę Narodzenia się Pana, ich Stwórcy. Trzecia scena: pasterze pilnujący swych trzód. Wszyscy pasterze spali a jeden z nich czuwał i śpiewał sobie, a gdy jasność się ukazała zaczął krzyczeć ze strachu i począł budzić innych pasterzy. Ci zaraz się zebrali i zaczęli radzić co począć, wtem przyszedł anioł, pocieszył ich wesołą nowiną, kazał im iść do Betleem. Zwołano zaraz polskie uciśnione dzieci, aby i one szły z nimi witać swego Zbawieiela, od którego mogą doczekać się lepszej przyszłości, przyszedł Krakowiak ubrany w sukmanie krakowskiej w czapce rogatej z pawiem piórem, Litwin ubrany po litewsku i Rusin w świcie i czapce baraniej. Zaśpiewano »Pójdźmy wszyscy do stajenki« i poszli do Betleem. Czwarta scena przedstawiała Heroda w swoim pałacu, strwożonego narodzeniem się króla żydowskiego i przybyciem trzech króli. W dalszej scenie Krakowianka, stojąca przy żłóbku ubrana pięknie po krakowsku, przybiegli Wielkopolanin z pod Prusaka i Królewiak z pod Moskala, a po powitaniu się nawzajem zaczęli się skarżyć na uciemiężenie Prusaka i Moskala przed żłóbkiem. Potem przyszli pasterze i razem złożyli podarki i życzenia i odśpiewano kilka piosnek i kolęd a zakończono śpiewem »Boże coś Polskę». Chór śpiewaków odśpiewał także pieśni patryotyczne »Nasz polski naród, nasz polski lud«.

Całe przedstawienie widzowie przyjęli burzą oklasków. Powiedzieć wypada, że wszystko to skutek oświaty i nauczycieli. Dawniej nasza wieś słynęła z wielkich pijaków i bitek w karczmie. Teraz pijaństwo upadło a szerzy się oświata powoli. Da Bóg jeszcze lepszą przyszłość.

Przestrogi dla wychodźców na Saksy. Polskie Towarzystwo emigracyjne w Krakowie z powodu zbliżającego się sezonu usilnie przestrzega robotników rolnych, poszukujących pracy za granicą:

1) przed udawaniem się na obczyznę naoślep, bez poprzedniego zapewnienia sobie pracy przez podpisanie odpowiedniego kontraktu;

2) przed poleganiem na tak zwanych »kontraktach fałszywych« tj. formularzach, które nie noszą dokładnego adresu pracodawcy i jego oryginalnego podpisu, a używane bywają przez agentów li tylko w celu zwabienia robotników za granicę i wyzyskania tam ich przymusowego położenia;

3) przed oddawaniem się pod opiekę t. zw. »kontrakciarkom« i innym pokątnym agentom, a zwła-

szcza uiszczaniem im jakichkolwiek opłat za pośrednictwo, co jest tem bardziej zbyteczne, że polskie Towarzystwo emigracyjne w Krakowie (Radziwiłłowska 21) i powiatowe biuro pośrednictwa pracy stręczą zarobki robotnikom zupełnie bezpłatnie.

Utrudnienie wychodźtwa do Ameryki. Komisya przedłożyła senatowi Stanów Zjednoczonych projekt ustawy ostrzejszy co do wychodźtwa. Cała odpowiedzialność zagranicznych przybyszów ma być złożoną na towarzystwa okrętowe. Przewidziane są ciężkie kary a nawet zabranie okrętów, na wypadek wysadzenia na ląd cudzoziemców, którzy według nowych ustaw nie mają prawa przybywać do Ameryki.

Zajście na granicy. W ubiegłym tygodniu w Podwołoczyskach odstawiało dwóch żandarmów austryackich, oraz policyant z Podwołoczysk do granicy dwóch wydalonych z Austryi poddanych rosyjskich. Przy tej sposobności przyszło do wymiany strzałów karabinowych między austryackimi żandarmami a żołnierzami rosyjskiej straży granicznej. Początkowo gazety lwowskie pisały o formalnej bitwie, ale okazało się, że była to strzelanina pograniczna, jaka dość często się zdarza.

† **Mieczysław Brzeziński.** W Warszawie zmarł w 53 roku życia Mieczysław Brzeziński, jeden z najzasłużeńszych pracowników narodowych w Królestwie Polskiem. Obok niezapomnianej pamięci Promyka (Kazimierza Prószyńskiego), zmarłego przed dwoma laty, był ś. p. Brzeziński najbardziej sprawie oświatowej w Królestwie oddanym pracownikiem. Wydał wiele książeczek dla ludu a w roku 1892 objął redakcyę »Zorzy«, z której obok Promyka, »Gazety świątecznej«, stworzył najpopularniejsze pismo ludowe w Królestwie.

Macoch uciekł z więzienia! Tak doniosły pruskie gazety, a niektóre polskie uwierzyły temu, co rychło okazało się nieprawdą.

Bunt w więzieniu rosyjskiem. W żadnem z pewnością państwie mimo srogich rosyjskich rządów, niema tylu bandytów, rabusiów. podpalaczy i złodziei, co w państwie cara. Włóczęgi i rozbójnicy zwą się tam powszechnie brodiagami i, rzecz prosta, żaden z nich do końca życia nie uprawia bezkarnie swego rzemiosła, które znaczy się szeregiem rabunków, kradzieży i rozbojów. Jak się taki dostanie w ręce policyi rosyjskiej, a potem sądu i zostaje uwięziony, nie obchodzą się z nim też wcale po ludzku dozorcy i urzędnicy. Znęcają się nad tymi zbójami, przyznać trzeba, nieraz okrutnie.



W mieście Charkowie, w tamtejszem więzieniu trzech bosiaków (tak też nazywają się po rosyjsku zbrodniarze) tak sobie uprzykrzyło dokuczanie dozorców, że porozumiawszy się z sobą, postanowili za wszelką cenę wydobyć się z więzienia. Nie było to łatwo. Znaleźli jednak chwilę, kiedy udało im się wyjść z celi, w okamgnieniu zabili jednego strażnika na korytarzu, potem drugiego i dostali się na podwórzec więzienny. Była noc. Zdawało się im, że przez mur okalający gmach karny wydostaną się na wolność. Ale pojawili się czterej strażnicy i zaczęli do nich strzelać. Uciekinierzy odstrzeliwali się z broni, zrabowanej zamordowanym strażnikom, dwóch zabili, lecz w końcu padli sami od strzałów i życiem przypłacili pragnienie ucieczki z swych kaźni. Nasz obrazek przedstawia tę zaciętą walkę brodiagów ze strażą.

Wilki hulają. Pisma węgierskie donoszą, że w Siedmiogrodzie panuje tego roku niezwykle ostra zima. Co gorsza, że w bardziej lesistych częściach kraju pojawiły się chmary zgłodniałych wilków — i biada każdemu, ktoby nieostrożnie puścił się w podróż przez lesiste obszary, zwłaszcza nocą. Ofiarą szarych drapieżników padło już w Siedmiogrodzie tej zimy kilka ofiar.



Ostatnio, przed kilku dniami, zginął w paszczach wilków niejaki August Lang, bogaty krawiec z Segeswaru, człowiek w całej okolicy ogólnie znany i poważany. Wybrał się on do jednej z pobliskich parafij, zaproszony na chrzciny do tamtejszego pastora protestanckiego. Lang, mimo ostrzeżeń, wsiadł sam na sanki i pojechał na wieś, nie wziął ze sobą nawet dubeltówki, którą, jako dawny żołnierz, miał zawsze u siebie. Wycieczka Langa zakończyła się fatalnie. Po drodze ogarnęło jadącego stado zgłodniałych wilków.

Przerażone konie, widząc straszne bestye, pognały cwałem przez pole. — Lang wypadł z sanek i w okamgnieniu stał się pastwą rozjuszonych głodem wilków. Ludzie z najbliższych wsi, widząc konie cwałujące z pustemi sankami, domyślili się nieszczęścia i gromadą wybrali się na poszukiwanie resztek nieszczęsnej ofiary. Zastali już tylko krwawą, napół ogryzioną masę, o którą biło się stado wyjących bestyj.

Obrazek nasz przedstawia właśnie straszną scenę, kiedy Langa opadło krwiożercze stado.

Nieudana robota niemiecka. Władysław Kuchynka w Cieplicach czeskich zapisał 100.000 k. gotówki i gruntu za 110.000 k. na czeską »Macierz Szkolną«. Kuchynka był z rodu Czechem, ale był urzędnikiem kolejowym kolei ustecko-cieplickiej, znajdującej się w ręku niemieckiem. Na życzenie przełożonych, Niemców, usunął się całkiem z czeskich towarzystw a wpisał się do niemieckich. Ożenił się z Niemką, gorliwą agitatorką niemczyzny. Otrzymał pochwałę za to, że odmawiał pasażerom czeskich biletów kolejowych. Należał w Cieplicach do ostrych przeciwników Słowian. Wskazywano go jako przykład odstępcy narodowego. Wysłużywszy emeryturę, jako inspektor kolejowy pozostał w Cieplicach — Niemcem wśród Niemców. Rozchorowawszy, pojechał na kuracyę do ciepłych krajów i tam zmarł. Wśród papierów jego znaleziono testament, sporządzony już przed trzema laty, po niemiecku

na rzecz czeskiej Macierzy. Przez całe życie Niemcy zmuszali Kuchynkę być Niemcem, a on przecież pozostał wiernym swemu narodowi. Podobnie dzieje się z wielu Polakami na Śląsku i w Wielkopolsce, gdzie ucisk niemiecki większy niż w Czechach.

Stracił mowę z przestrachu. Pewnego ucznia w seminaryum nauczycielskiem w Straubindze w Niemczech, nauczyciel schwycił na odpisywaniu zadania. Chłopak utracił mowę z przestrachu i lekarze nie zdołali mu jej przywrócić.

Prześladowanie języka polskiego. Do mieszkania p. St. Konatkowskiego w Berlinie wtargnęła policya, rozpędziła dziesięcioro dzieci, uczących się na elementarzu i skonfiskowała 19 elementarzy. Jak donosi »Dziennik Berliński« była rewizya prawdopodobnie skutkiem wypytywania się nauczyciela w katolickiej szkole, które dzieci pobierają naukę języka polskiego i kto jej udziela. Lekcyi udzielała całkiem za darmo panna Helena Konatkowska, którą z pewnością wkrótce pociągną do odpowiedzialności sądowej i wtrącą do więzienia. Ciężko jest żyć Polakom pod Prusakiem.

Pijana stolica. W ciągu ubiegłych świąt rosyjskich Bożego Narodzenia (po naszemu w połowie stycznia), cyrkuły policyjne oraz szpitale w Petersburgu zarejestrowały olbrzymią liczbę pijanych, przeszło 30.000. W 4 szpitalach miejskich zanotowano przeszło 30 wypadków śmierci skutkiem zatrucia alkoholem. Przeszło 15 procent z liczby pijanych i zmarłych przypada na kobiety.

Król belgijski przeciwko wódce. W mowie tronowej, wygłoszonej przez króla Alberta podczas otwarcia parlamentu belgijskiego, znajduje się między innemi ustęp, poświęcony walce z pijaństwem. Król stwierdza z radością, że dotychczasowe usiłowania rządu, zmierzające do ograniczenia pijaństwa, nie pozostały bez skntku; konsumcya napojów spirytusowych bowiem spadła w ostatnich 15 latach z 10·3 l. na 5·50 l. rocznie na osobę. Równocześnie zaś zmniejsza się także stale ilość szynków i to nietylko stosunkowo do liczby ludności, lecz i absolutnie. Ponieważ jednak pijaństwo jest w Belgii i teraz jeszcze bardzo wielkie, zapowiedział król przedłożenie parlamentowi projektów nowych praw dla umożliwienia skuteczniejszej jeszcze niż dotąd walki z tą klęską.

List z poza grobu. Niedawno wyłowiono u wybrzeży Anglii opieczętowaną flaszkę, w której znaleziono następującą kartkę: »Straciliśmy wszelką nadzieję ratunku — 12 listopada 1910 — kapitan Schmidt«. List ten wrzucił w morze, jako ostatni znak życia, kapitan parowca »Berlin«, który, opuściwszy z ładunkiem węgla w dniu 10 listopada 1910 roku port Sundenland, zginął bez wieści. Obecnie wyjaśnia to zniknięcie list ten z poza grobu, gdyż obecnie niema już wątpliwości, iż »Berlin« wraz z całą załogą zatonął.

Tajne związki bandyckie we Włoszech. Przed sądem rzymskim rozpoczął się w tych dniach wielki proces przeciwko 44 członkom Kamorry, tajnego związku bandyckiego. Do rozprawy, która ma potrwać około sześciu miesięcy, wezwano przeszło tysiąc świadków. Pozostają oni pod baczną opieką policyi, ponieważ wielu z nich otrzymało już listy z pogróżkami, innych zaś usiłowano przekupić.

Najstarszy człowiek we Francyi ks. Gadenne, proboszcz z Roche, święcił przed kilku dniami 105 rocznicę urodzin. Starzec cieszy się czerstwem zdrowiem, które jednakże, jak przytaczają pisma francuskie, sprawiło mu niejeden kłopot. Już bowiem przed 30 laty sędziwy proboszcz, nie przypuszczając, by mu sądzona długowieczność, zamówił sobie tablicę grobową, na której wyryto datę śmierci »188—«. Tymczasem śmierć nie przyszła i co lat dziesiątek musiał ksiądz poprawiać liczbę na 189—, 190—. wreszcie 191—. Zirytowany staruszek kazał obecnie zostawić tylko dwie początkowe cyfry, co pozwala mu już spokojnie oczekiwać na spełnienie się dni żywota, nie przypuszcza bowiem, aby mógł dożyć roku 2000.

Mądre rozporządzenie wydała rada miasta Tacoma w stanie Waszyngton Ameryki Północnej. Karze podpada mianowicie każdy, kto »funduje« w knajpie, czyli kupuje dla innych trunki. Upić się może każdy, ale tylko za swoje pieniądze. Gdybyż takie prawo przeprowadzono także w innych miastach! Pijacy płakaliby, ale ludzie wyszliby na tem dobrze, najwięcej bowiem straci się wtedy, gdy się zacznie fundowanie kolejek. Wtedy picie odbywa się najbardziej, zalewają się żołądki i nic z całej tej pijatyki nie mają, prócz bólu głowy, utraty sił i zdolności do pracy!

Olbrzymi zegar. Przed paru tygodniami pisaliśmy o olbrzymim zegarze, znajdującym się w jednem z miast amerykańskich. Dzisiaj przedstawiamy na naszym obrazku czytelnikom taki sam olbrzymi zegar, również wykonany w Ameryce.



Wynalazca, gdy ukończył swe dzieło, a było to jeszcze w lecie, zaprosił do swego ogrodu wiele gości, tam na kobylicach kazał położyć tarczę zegara ze wskazówką a naokoło poustawiać krzesła i zegar w ten sposób służył za stół do uczty, którą wyprawił swym przyjaciołom pomysłowy Amerykanin. — Jak ogromną jest tarcza zegara wyobrazić sobie łatwo, gdy się ją porówna z wielkością ludzi, którzy obsiedli stół biesiadny.

Czarna lichwiarka. Amerykańskie pisma podają historyę głośnej na przedmieściach Nowego Jorku niejakiej Magdy Johnston, znanej ogólnie pod nazwą »czarnej lichwiarki«. Magda Johnston jest murzynką, ma czarne i błyszczące, jak dwa karbunkuły, oczy, któremi przenika na wskróś każdego, budząc piekielną grozę wśród otoczenia. Po śmierci swego ostatniego męża żyje zupełnie samotnie i trudni się zyskownym przemysłem »wygadzania« ludziom... za odpowiednim procentem.

»Czarna lichwiarka« ma tę dziwną właściwość, że od swych klientów wymaga prawie religijnej czci i pokory i pożycza wyłącznie swym współplemieńcom, murzynom. Białemu nie pożyczy żadną miarą ani centa i wypycha każdego z nich za drzwi swej nory.

Magda Johnston, o której twierdzą, że siedzi na milionach, mieszka w jednym z najciemniejszych zaułków murzyńskiej dzielnicy Nowego Jorku, a do nory jej nikt niema wstępu oprócz jej czarnej kości no i chyba policyi... Ale policya nowojorska niema wielkiej ochoty zadzierać się z czarną jędzą, która ma dziwny wpływ na tysiączne rzesze swych współplemieńców.

Świadectwo nieboszczyka. W Zbąszyniu po dziś dzień stoi zamek staropolski, niegdyś warownynad wielkiem jeziorem. Jedna ze ścian tego zamku za, chwiała się i groziła upadkiem i na gwałt ją naprawiano i wzmacniano. Ponieważ zamek jest piękny i drugiego takiego samego niema już dziś, zatem jest cenny i gazety wielkopolskie obszernie pisały o robotach przy naprawianiu ściany. Przypomniały też dziwną historyę, złączoną z dziejami tego zamczyska.

Jeden z panów tego zamku prowadziwszy w młodości życie rozwiozłe, przepędzał na pokucie i rozmyślaniu późniejsze swoje lata. Obracał starzec znaczne swe dochody na miłosierne uczynki, a powiernikiem jego w rozdawaniu jałmużn był doświadczony, długoletni sługa. Obaj częstokroć do podziemnego schodzili skarbca, gdzie po kilka godzin sam na sam przebywali. Skromny sposób życia właściciela Zbąsznia nie podobał się synowi jego. Młodzieniec ten, zepsutych obyczajów, obłudą nazywał postępowanie ojcowskie; słudze zaś zemstą swoją na przyszłość odgrażał. Wtem nagła niemoc naprzód mowę, a wkrótce potem i życie starcowi odjęła; a gdy zwłoki jego do grobu zniesione zostały, wezwał nowy dziedzic starego sługę i do skarbca zaprowadzić się kazał.



— Czy tu składał mój ojciec pieniądze swoje? — rzekł, widząc wielką skrzynię, w żelazo okutą.

— Tak jest, paniczu — odpowiedział stary.

Wówczas młody panek skwapliwie otworzył skrzynię, lecz w niej księgi pobożne tylko, włosiennicę i dyscyplinę ujrzał.

— Gdzie są skarby mojego ojca? — rzekł dziko młodzieniec — a kiedy ich niema, gdzie są kwity z roztrwonionych jego dochodów?

— Rozdawał pan mój dochody swoje między nieszczęśliwych, a kwitów od nich nie żądał — odrzekł sługa.

— Ty więc je wystaw, niecnoto; nie wyjdziesz stąd, dopóki ich mieć nie będę!

To powiedziawszy nowy pan, zatrzasnął za sobą żelazne podwoje i starego sługę samego w piwnicy zostawił. Dzikie śmiechy towarzyszów rozpusty młodego pana rozlegały się dalej po zamku.

Dwa dni przepędził w więzieniu nieszczęśliwy sługa bez pokarmu i napoju, gdy cały ten czas swawolna rzesza na rozpuście strawiła. Trzeciego dnia na wieczerzy jeden z gości, mocno podchmielony, z urąganiem spełnił zdrowie więźnia, mówiąc szyderczym głosem:

— Niech go pasie stary, niech go uwolni, jeśli potrafi! W tejże chwili otworzyły się zcicha drzwi, prowadzące do alkowy. Wchodzi umarły ojciec w śnieżną przybrany suknię — i wiernego sługę za rękę prowadzi.

— Tak jest — rzeknie — nakarmiłem go, wywiodłem z więzienia, a teraz niewinność jego zaświadczam!

Starzec zniknął, a syn upadł bez zmysłów. Następne życie jego dowiodło, że napomnienie ojca pożądany odniosło skutek.

Dżuma w Chinach. Do Petersburga nadeszły wiadomości bardzo groźne, donoszące, że w Mandżuryi sroży się wielka dżuma. Głównie grasuje ona w okolicy zajętej przez wojska rosyjskie a zabija ludzi tysiącami. Władze rosyjskie wobec tego groźnego niebezpieczeństwa okazują się jednak zupełnie bezsilne i niczego nie przedsiębiorą, aby rozszerzaniu się zarazy zapobiedz. Także w Chinach, mianowicie w samej stolicy, w Pekinie, wybuchła nagle ta straszna choroba. Jestto wielkie niebezpieczeństwo dla Europy!

Jakiego wieku może dożyć człowiek? Jest faktem wpadającym w oczy, że w podaniach wszystkich narodów znajdują się baśnie o ludziach, którzy doszli bardzo wysokiego wieku. Często wymieniany Methusalem zdaje się być dla wielu przykładem. Również i w Chinach opowiadają, że w najwcześniejszych latach cesarstwa ludzie dochodzili więcej niż stu lat. Kto zwykł wątpić o tem, czego sam nie sprawdził i czego się nie da udowodnić w dobie obecnej, ten nie wierzy w podobne wiadomości. Należy jednak zwrócić uwagę, że dotychczas jest jeszcze niepewnem, jakiego wieku może dożyć człowiek. Od czasu do czasu pojawiają się opowiadania o ludziach, którzy dożyli rzekomo stu lub nawet 140 lat, lecz brak na to dowodów.

Przeciwnie. Statystycy, czyli uczeni zbierający liczby różne, odnoszące się do rozwoju ludzkości, wyrazili swoje przekonania, że należy powątpiewać, czy wogóle osiągnięto kiedykolwiek wiek 140 lat. Granicę wieku, w wypadkach dających się udowodnić, stanowi 125 lat. Co do długowieczności są dotychczas dwie teorye naukowe. Jedna z nich wychodzi z zasady, że maszyna ludzka w każdym poszczególnym wypadku lub w pośród jednej rodziny jest nastawiona z woli Boskiej na oznaczony zgóry wiek, do którego się dochodzi, jeżeli jakiś wypadek, także za wolą Boską, nie przetnie życia. Druga natomiast stwierdza, że długość życia jest tem większą, im powolniej rozpoczęto tę podróż życiową, czyli innemi słowy, im wolniej postępował rozwój ciała ludzkiego.

Historya tytoniu. Używanie tytoniu ma swój początek z Chin i Ameryki. Hiszpanie najprzód znaleźli go na wyspie Tabago w r. 1496, a w 50 lat potem Jan Nikot, poseł francuski w Lizbonie, zwrócił na tytoń uwagę dworu swego, ponieważ dostrzegł, że liściami tytoniu niebezpieczne i dolegliwe gojono wrzody. W r. 1561 przywiózł go Franciszek Drake do Anglii. Roku 1610 palono go już w Stambule. Przeciwko używaniu jego wszystko się z początku sprzysięgło. Szwajcarowie w r. 1616 równali je nierządom, pijaństwu i zbrodniom. Kto tytoń palił musiał albo ogromne kwoty pieniężne płacić za karę, albo stać u pręgierza. W Rosyi r. 1634 za palenie tytoniu nozdrze wyrywano, a w Turcyi-życie odbierano. Tymczasem Holendrzy przez swój handel wszędzie go zaprowadzili.

Kosztowne skrzypce. Skrzypki, które każdy może mieć za parę koron, mogą mieć ogromną cenę, jeżeli pochodzą ze sławnej fabryki z przed kilku wieków. Najbardziej płacone są skrzypki z włoskich fabryk z XVI i XVII wieku, w mieście Kremonie. Mają one przecudny ton i dochodzą czasem olbrzymich cen. Niedawno temu Jan Kubelik, słynny czeski skrzypek, nabył skrzypce znane pod nazwą «Emperor« za 145.000. Nic dziwnego, że złodzieje mają smak na tak cenne przedmioty i jeśli im się uda, kradną. W Niemczech skradziono tej zimy skrzypce, których wartość oceniono na 50 tysięcy koron.

Najnowsze materyały budowlaue. Pod tym tytułem wydała znana **fabryka maszyn specyalnych Dra Gasparego i Spki, Markranstaedt koło Lipska,** znów wspaniałą broszurę, w której zużytkowanie materyałów surowych, zdawających się niekorzystnemi, jako to: piasek, żwir, kamienie, odpadki kamienne, szlaka, drzewna mąka itp. do materyału budowlanego dokładnie i wyraźnie opisane. Książka ta znajdzie zapewne dużo interesujących się, ponieważ ten materyał surowy wszędzie istnieje i potrzeba w dobrego, jak również taniego materyału zawsze jest. Poczynając fabrykacyą cegieł, opisuje się jedno za drugiem wyrób bloków, dachówek cementowych, płyt domowych, dworowych i trotuarowych, rur kanalizacyjnych i drenowych, i dużo innych betonowych przedmiotów, jak stopni schodowych, wanien kąpielnych, koryt, grobowych dekoracyj, podłóg cementowych i t. p. W niej znajdują się także widoki budynków i potrzebne do wyrobu tych materyałów maszyny i formy. Ponieważ firma ta specyalnie co do budowy maszyn do zużytkowania wymienionych często bezkorzystnie leżących materyałów bardzo doświadczoną jest i takie urządzenia od najmniejszych do największych do wszelkich stosunków dostarcza, to przy opisaniu i widokach tych można się łatwo zoryentować. Z tego powodu zwracamy uwagę wszystkich interesowanych na tę broszurę Nr. 406, tem bardziej, że firma ta także wszelkich specyalnych objaśnień udziela, materyały praktycznie bada i najkorzystniejsze używanie radzi.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. Tobiasz w M.: Żałujemy, już nie mamy tego numeru. — Andrzej Kurcz w S.: Wysłany 14 grudnia. Proszę zapytać na poczcie, my reklamujemy do dyrekcyi lwowskiej. — Józef Ferenc w J. Wysłany 18 stycznia kalendarz »Polak«. — Adolf Zięba w P. Drukujemy, dziękujemy. — Nierychel Emil w Z.: Żałujemy, ale zapóżno. Trzeba pisać zaraz nazajutrz. — Antoni Pyrzak w R.: Numeru 51 już nie mamy. — Michał Lejówka w M.: Wysyłamy regularnie wszystkim we czwartki. Jest wszystko tak urządzone, że właśnie gdybyśmy chcieli nieregularnie wysyłać, robiłoby to nam kłopot. Kalendarz wysłany inny, bo pisaliśmy, że naszego już zabrakło a w to miejsce wysłaliśmy »Polaka«. — Antoni Surówka w K. m.: Owszem dwa numera wysyłamy — dla każdego osobno. — Jadwiga Kobylańska w B.: Kalendarze obwijamy w pierwszy lepszy stary numer. Marcin Piwowar w W.: Adresujemy tak jak podano. Wojciech Kapuściński w L.: Bardzo serdecznie dziękujemy. Takiego nam właśnie trzeba. Prosimy częściej i pozdrawiamy! — Jan Borek w W. S.: Gdy nam kto zjedna prenumeratorów cenimy w tem nie pieniądze, które są, małą kwotą, ale objaw życzliwości i uznania dla naszej pracy. Dziękujemy i zadwóch zjednanych, ale tak się Pan Kochany tem chwali strasznie! My mamy takich przyjaciół co nam po kilkunastu zjednali, a nie wymagają nagrody. — Karol Batko w Dz.: Piszemy list. — Nycz Józef w G.: »Rola« kosztuje na rok 4 korony a nie 3, więc jest zapłacona tylko za trzy kwartały. — Józef Stypa w P.: Zapłacono za Pana 3 korony więc 1 koronę trzeba samemu dosłać. — Franciszek Kelner w P. L.: Zagadka dobra. — Michał Żdziebłowski w P. W.: Szarady wydrukujemy. — Józef Pękala w H.: Owszem, rozwiązania można posyłać na kartce korespondencyjnej, a nawet lepiej, bo taniej kosztuje. — Jakób Stręk z O.: Może za rozwiązania los poszczęści, tylko trzeba często przysyłać. — Wojciech Kapuściński w L.: Otrzymaliśmy i wydrukujemy. Prace kokursowe będziemy powoli drukować cały rok a część ich damy do kalendarza na rok 1912, prosimy więc nie zrażać się, ale pisać i przysyłać. — Załubski Piotr w Ł.: Utwory Pańskie są dobre, więc chętnie je będziemy drukować. »Nieszczęsna jabłoń« będzie wkrótce. — Fr. Krzyżanowski w J. p.: Maciek na list czeka, a możeby z fotografią? — Marcin Piwowar w M.: Idzie najregularniej pod wskazanym adresem. — Józef Lenar w R.: Podane było w adresie »poste restante« i tam wysłany Kalendarz, powrócił po paru tygodniach z dopiskiem »nie odebrane«. Na numer 1459 w losowaniu nic nie wypadło. Wynik ogłoszony był w nr. 3. — Jan Moś w C.: Bardzo się cieszymy, że rocznik zrobił tak wielką przyjemność: A. Tylek pow. myślenicki: My wiemy, że zasługuje, ale takie rzeczy drukuje się tylko za pieniądze, bo to interes. — Walenty Baścik w R.: Za artykuł o postępowaniu upominawczem dziękujemy, ale już mamy przygotowany inny, który wydrukujemy w następnym numerze. Michał Mikoś w H.: »Pory roku« będą w »Roli« — a możeby Pan co więcej prozą nadesłał? — Zygmunt Bogdański w J.: Wiersze otrzymaliśmy, ale »Grunwaldzki bój« spóźniony — drugi będzie. — Możeby i lepiej tak było jak Pan radzi, ale z innych względów humor umieszczamy na okładce a nie w tekscie. — Jan Walczak: Wiersz otrzymaliśmy. — Adam Jesionek w Ch.: Wiersze otrzymaliśmy — znać w nich wprawę i pewną łatwość rymowania. »Głos z pod Sandomierza« stanowczo za długi. Jeżeli go damy w »Roli« lub kalendarzu naszym na 1912 r. to w pewnem skróceniu. — Jan Guzik w N. T.: Poczta ciągle nam zwraca z dopiskiem, że jest więcej Guzików Janów, więc nie wie któremu doręczać. W takich razach trzeba koniecznie podać numer domu lub imię ojca albo też coś podobnego. Wysyłamy ponownie. — Jan Fornal w W.: Rocznik nieoprawny kosztuje 3 kor., oprawny 4 kor. prosimy przysłać przekazem. A co znaczą te skrawki papieru przysłane w liście? — Józef Habrat w P. O.: »Podarek szczęścia« wysyłamy — a na co przeznaczyć 1 kor. 50 h., gdyż Pan tyle zadużo przysłał. — Michał Szelest w T.: Dobrze postaramy się o to, gdy będziemy mieć więcej miejsca. — Antoni Jędryka w Ł. m.: Niech Pan napisze do księgarni po cennik owych książek, gdyż my ich nie posiadamy. — Piotrowska w Z.: Owszem, dobre rzeczy chętnie drukujemy. — J. Bania w S.: Wysłane 28 b. m: — Ludwik Pernal w K.: Wysłane 24 b. m. Ignacy Warzała w Ł.: Uzasadniona reklamacya, wysyłamy. — Fr. Siatkowski w N.: Posyłamy w tym tygodniu. — Józef Kapera w B.: Nie dostał Pan, bo nie przysłał 30 hal. Teraz zapóźno.

Reklamacye o niedoręczone numery przyjmujemy tylko w przeciągu tygodnia po wyjściu numeru.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu całoroczną prenumeratę nadesłalii PP.: Ks. Kazimierz Zawałkiewicz z S. (8 k.), Jaś Pasek Błotnicki z D., Jan Mierek z Cz., Franc. Wawrzeczko z B., Michał Małecki z J., Kółko rolnicze z B. p., Jan Biało z Ch., Mieczysław Onyszkiewicz z L. dla Czyt. polskiej w J., Dąmbski Stanisław z L., Łabuz Seweryn z Cz. Hupkowa Marya z K., Żagan Karol z K., Anna Turasiewicz z P., Kółko rolnicze z R.

Półroczna prenumeratę nadeslali PP.: Franciszek Łupuszański z Cz., Szczepan Wolski z Cz., Stanisław Kałucki z B., Jan Moskal z Z. g., W. Zawiślak z G., Pchełka Franciszek z P., Walenty Wójcicki z N., Stypa Józef z P. (3 K.), Nycz Józef z G. (3 K.), Karetus Franc. z B., Szumiec Wojc. z B. m., Parchański Franc. z M., Koło TSL. w J. (10 prenumerat), Jędrzej Kołeczek z J. p., Józef Ptaszek z B., Marya Marecik z O., Feliks Lis z S.

Kwartalną prenumeratę nadesłali PP.: Drabik Władysław z A., Jan Prusak z Z., Chmielarz Antoni z S., Uhera Józef z L. d., Stanisław Łopatka z D., Bogusz Szczepan z P. z., Jan Szczych z S.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 31 stycznia:

Buhaje	Kor.	110	do	500	za sztukę
Woły	„	200	„	350	„
Krowy	„	133	„	325	„
Jałówki	„	80	„	256	„
Cielęta	„	24	„	73	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	130	„	148	za 50 kg

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 31 stycznia:

Pszenica	Kor.	10·35	do	10·90	za 50 kg.
Żyto	„	7·60	„	7·90	„
Jęczmień	„	7·60	„	8·—	„
Owies	„	8·20	„	8·65	„
Otręby pszenne	„	4·75	„	4·90	„
Otręby żytnie	„	4·70	„	4·80	„

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Pierwsze lubicie,
Bo się bawicie.
Pierwsze i trzecie
Wszędzie znajdziecie,
Szczególnie w chacie
Poszukaj bracie.
Drugie powiada,
Że coś posiada,
Trzecie i czwarte
Nie wiele warte.
W ogrodzie często
Widzimy gęsto.
Czwarte i trzecie
Są rzadko w świecie,
To u złych ludzi
Postrachy budzi.
Całe ci powie:
W piśmie i w mowie
Miej mię na względzie,
A dobrze będzie!

2. ARYTMOGRYF.

(Nadesłał Józef Jarmuła z Z.).

1	9	5	4	3	10	8	5	Kraj w Austro-węg.
4	**2**	11	6	12	13	14	5	Podróżnik bez celu.
7	15	**3**	7	3	16	17	9	Rodzaj jaszczurki,
1	2	3	**4**	18	19	6	17	Mieszkańcy Krainy.
20	2	5	4	**5**	21	7	8	Kwiatki.
7	3	15	16	18	**6**	7	8	Sławny Paulin.
22	3	21	17	6	12	**7**	5	Narzędzie ogrodnicze
7	15	5	1	8	6	7	**8**	Bajkopisarz polski.

Litery czytane od 1 do 8 dadzą nazwisko jednego z najsławniejszych poetów polskich.

3. SZARADA.

(Nadesłał Józef Kobylański z L.).

Pierwsze to litera znana w alfabecie,
Drugie z wiosną płynie, o tem dobrze wiecie,
Całość także w rzekach różnych się znajduje,
Ryba tego strzeże i pilnie hoduje.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Jan Florek z R.).

Koni i ludzi (razem) było 30; ile było ludzi, a ile koni, gdy wszystkich nóg (tak końskich jak i ludzkich razem) było 92; — ile zaś ludzi było na koniach a ile pieszo, jeżeli na ziemi nóg stało 78.

* * *

Za dobre rozwiązania przeznaczamy, w nagrodę:

1) ***Czarny Bizon***, przygody wśród stepów Półn. Ameryki.
2) ***Sierota*** powiastka przez Bol. Dunina.

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 12 lutego 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 4 *Roli*: 1. Metagram: **Pac, Pad, Pan, Pas, Pal, Pau, Paw, Paź.** 2. Zagadka: **Anastazy, umierając, liczył 84 lat.** 3. Zagadka: Żołnierze ustawili się:

W pierwszym wypadku:			W drugim wypadku:		
1	5	1	3	1	3
5	Wódz	5	1	Wódz	1
1	5	1	3	1	3

4. Zagadka: **Korybut.**

* * *

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązanie:

I.

Los mi jakoś sprzyjać nie chce,
Choć nagroda człeka łechce,
By zimowy wieczór skrócić
Czarne myśli precz odrzucić,
Bo się ryją w serce, duszę,
Przecie kiedyś trafić muszę.
Te powieści długie ładne...
Jak nie trafię, to ukradnę,
Mnie ta nigdy sen nie zmorzy
Pilnujcie się Redaktorzy
Nie spuszczajcie nigdy oka
Z Hektora Serwadoka.

Piotr Lipowiak.

Oprócz tego w oznaczonym czasie nadesłali rozwiązania PP.: Adela Bezokówna z K. m., Rudolf Kula z M. K., Franc. Teper z M. K., Kaz. Kowalski z K., Jan Łaz z T., Jan Moś z Cz., Jakób Stręk z O. Józef Pękala z B., Zofia Oraczewska z Ż., Józefa Hirszberg z K., Wł. Lanoszka z S., Ludwik Misiura z B., Eugeniusz Oczkowski z G., Władysław Stefański z G., Stanisław Wyrobek z J., Piotr Sendyk z P., Zygmunt Bogdański z J., Francisyek Keller z L., Wojciech Rojek z P., Jan Płodzień z Ch., Bialonczyk Józef z Z., Fr. Moskal z G., Jan Bąbaś z S., Jakób Gawryś z B., Feliks S ewczyk z Rz., Michał Dudek z Ż., Michał Strachocki z S., Sadowski z B., Wojciech Szocik z D. m, Mikołaj Wyżykowski z R., Adela Babiak z U.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Hektor Serwadok*** 2 tomy wylosował **p. Stanisław Wyrobek** z J., drugą zaś p. t. ***Z czasów Bolesława Chrobrego*** **p. Wojciech Rojek** z P.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.